

10	11		12	13	14	15
16	17		18	19	20	21
22	23	24		26	27	28
29	30	31	32	33	34	35
36	37	38	39	40	41	42
43	44	45	46	47	48	49
50	51	52	53	54	55	56
57	58	59	60	61	62	63
64	65	66	67	68	69	70
71	72	73	74	75	76	77
78	79	80	81	82	83	84
85	86	87	88	89	90	91
92	93	94	95	96	97	98
99	100	101	102	103	104	105
106	107	108	109	110	111	112
113	114	115	116	117	118	119
120	121	122	123	124	125	126
127	128	129	130	131	132	133
134	135	136	137	138	139	140
141	142	143	144	145	146	147
148	149	150	151	152	153	154
155	156	157	158	159	160	161
162	163	164	165	166	167	168
169	170	171	172	173	174	175
176	177	178	179	180	181	182
183	184	185	186	187	188	189
190	191	192	193	194	195	196
197	198	199	200	201	202	203

W PUŁAWSKIM WIEŻOWCU MORD I SAMOBÓJSTWO

str. 10

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0137-1108 WZ 146450 0033

kamena

NR 18 (864)

7 września 1986

Cena 15 zł

BOGOWIE POWRACAJĄ

Rozmowa z prof. Aleksandrem Krawczukiem

— Panie profesorze, dzieje świata pełne są przykładów powtarzania przez narody i ich władców wciąż tych samych błędów, że wspomnę tu jedynie Niemcy. Czy historia naprawdę niczego nie może nauczyć współczesnych?

— Z tym pytaniem spotykam się stosunkowo często. Czasami jest ono tylko nieco inaczej formułowane. Na przykład: Czy historia się powtarza? Czy historia jest naprawdę nauczycielką życia? Z reguły odpowiadam wówczas twierdzeniem, że jeśli historia uczy czegoś, to właśnie tego, że ludzkość niczego się z niej nie nauczyła. Sprawa jest jednak w swej istocie zbyt poważna, by można ją zbyć jedynie łatwym czy żartobliwym powiedzeniem. Rozpatrując więc ten problem, należałoby postawić kolejne istotne pytania: czy ludzkość niczego nie nauczyła się z historii, gdyż jej nie zna, czy też dlatego, iż nie chce się z niej uczyć?

Dokończenie na str. 3



**Związek Czynu
Zbrojnego**

str. 4

Zwyczajna dziewczyna

str. 12

**Spowiedź
Juliana Kawalca**

**Fragmenty powieści
autobiograficznej**

str. 7

z notatnika

21 VIII. Czarną magię stanowią dla mnie rachunki telefoniczne. W sierpniu otrzymałem rachunek na kwotę 1836 zł. Ponieważ dotarł do mnie w połowie miesiąca mam prawo przypuszczać, że dotyczy on miesiąca lipca, a w tym miesiącu z powodu urlopu tylko przez tydzień korzystałem z aparatu. Natomiast w lipcu rachunek za telefon (przypuszczalnie dotyczący czerwca, kiedy byłem w Lublinie) wynosił 1682 zł.

I jak ja mam wierzyć w komputery?

23 VIII. „Przegląd Katolicki” (nr 34) ruga „Słowo Powszechne” za zamieszczenie informacji PAP pt. „Dla żniwiarzy nie ma święta”. Zdaniem redaktorów „PK” jest to „światopoglądowa manifestacja”. A jak ja mam nazwać zamieszczoną w tym numerze „PK” rubrykę „W świetle” niemal w całości poświęconą 25 rocznicy zabezpieczenia granicy między NRD a Berlinem Zachodnim? Owszem, jest szczególnie wybrany cytat z wygłoszonego z tej okazji przemówienia E. Honeckera, ale również i cytaty z przemówień H. Kohla i R. Reagana, Prezydenta USA oświadczył m.in.: „Chcemy, aby ten mur zniknął, aby zniknęły wszystkie mury, które dzielą ludzi, państwa, Wschód i Zachód... Piękne słowa! Zapewne zniknięciu wszystkich murów służy amerykańska pomoc zbrojna dla kontrrewolucjonistów w Nikaragui, a przedtem — bombardowanie Libii...”

Słuch pomyśleć, jaka wiedza mieli-by Polacy o współczesnym świecie, jeśli by ją czerpali jedynie z lamów „PK”!

24 VIII. W tym roku obejrzałem wszystkie transmisje z sopockiego Festiwalu. Ponieważ ubiegłorocznego nie śledziłem, trudno mi porównywać. Najbardziej podobał mi się... konferansjer — Tomasz Raczek. Spokojny, opanowany, dobrze mówiący po polsku, nie gestykulujący przy używaniu języka angielskiego. Nie odbieram jednak chleba naszej współpracownicy, Irene Filus, która pojechała do Sopotu i ma nam coś stamtąd przelać na lamy.

Dopisuję 31 sierpnia: Niestety, nie ma żadnego tekstu Ireny, nie ma też samej Ireny. Jeszcze jeden przykład, jakie są skutki, gdy redakcja opiera się na współpracownikach, a może i na poczcie... Z konieczności powolałam się więc na świadka, Andrzeja Sznaika z „Przeglądu Tygodniowego”, który stwierdził, że:

— zagranicznym wykonawcą możemy tylko zaproponować niepowtarzalny urok amfiteatru „Opery Leśnej” w Sopocie i przytrute morze;

— sknerstwo festiwalowych sponsorów, a nie żadne inne względy, powoduje, iż Festiwal sopocki jest taki, jaki jest, prowincjonalny niestety;

— twarde prawo biznesu nakazuje najpierw zainwestować, żeby później zbierać owoce, natomiast nasi bossowie od rozrywki chcieliby na odwrót;

— zamiast menażerów z prawdziwego zdarzenia kręci się wokół Festiwalu tyle dziwnych postaci o swoich nazwiskach zresztą i jak przychodzi do czego, to zamiast międzynarodowego Festiwalu mamy zjazd polonijny i już nie tylko z RFN, ale i z Australii zjeżdżają do Sopotu piosenkarze o polskich nazwiskach;

— za 15 tys. dolarów gwiazda Bonnie Tyler zaśpiewała w drugim dniu Festiwalu z półplaybacku, co niektórzy niesłusznie wzięli jej za złe, niesłusznie, bo nawet gdyby dołożył do honorarium drugie tyle, niczego by to nie zmieniło, bowiem z przyczyn technicz-

nych podkład muzyczny i tak musiałby być odtwarzany z taśmy;

— ceny biletów, aczkolwiek wysokie (para karnetów ponad 15 tys. zł), nie w pełni pokrywały koszty Festiwalu, ale nigdzie nie jest powiedziane, by skromny widz ponosił ciężar finansowy imprezy; od tego są polębie instytucje, choćby TV, która dzięki Festiwalowi zapewnia sobie wiele godzin atrakcyjnej emisji, a płaci za to grosze (w tym roku — 15 milionów zł);

— Wojciech Trzeciński wystawiając w konkursie Beatę Kozidrak z „Bajm” zaryzykował niewiele, gdyż poza niedopasowanym lakierem na paznokciach do koloru rękawiczek nie jej nie można było zarzucić.

W tymże (nr 35) „Przeglądzie Tygodniowym” Tomasz Raczek opisuje m.in. jak to zagraniczni goście przychodzą w Sopocie do superlaksusowej restauracji „Marina” zamierzają w osłupieniu, gdy podaje im się na talerzu kotlet schabowy złożony z samego panierunku, a w karcie obiadowej rubrykę „dania mięsne” zapełnia tylko jedno danie (do wyboru?!). A obiadu w tejże „Marinie” nie da się zjeść taniej niż za tysiąc złotych!!!

I jak tu jeszcze narzekać na orbisowską „Unię” w Lublinie, która obok baru „Pośpiech” (dla mniej zamożnych konsumentów) stanowić może oazę inwencji, co podkreślałam, aby wypuklić pozytywną działalność pana Moskaluka i pani Pleczkowskiej...

25 VIII. Odkąd zostałem członkiem komisji oświaty i wychowania WRN w Lublinie zacząłem dostawać do domu specjalistyczne pismo noszące ostatnio tytuł „Gospodarka Administracji Państwowej”. Otrzymuję aż dwa egzemplarze, co świadczy wymownie, że kryzys papierowy nie jest aż taki straszny. Ale to dygresja. W ostatnim numerze znalazłem interesujące dane dotyczące ludności Polski według poci, wieku i miejsca zamieszkania. Dane nie są najświeższe, ale chyba innych na razie nie ma, powstały na podstawie mikrospisu z grudnia 1984 r. Jest nas więc 18 025 964 mężczyzn i 18 999 637 kobiet. W miastach żyje 22 182 517 mieszkańców, zaś we wsiach 14 843 104 — czyli odpowiednio 59,9 proc. i 40,1 proc. ogółu. W wieku do czterech lat mamy 1 661 638 chłopców i 1 603 359 dziewczynek, natomiast w wieku powyżej 80 lat — 197 110 mężczyzn i 457 748 kobiet. W moim przedziale wieku znajduje się 921 484 obywateli płci męskiej (gdyby kogoś interesowało: jest to przedział między 55 a 59 rokiem życia).

O szczyrbie poczynionej przez ostatnią wojnę świadczy, że w wieku 65—69 lat żyje 492 399 mężczyzn, a w wieku 70—74 lat — 446 373, a więc o prawie 44 tys. więcej, a powinno być chyba odwrotnie.

Inna tabela traktuje o domach pomocy społecznej. Na 10 tys. ludności mamy w naszym województwie zaledwie 14,7 mieszka w takich domach, podczas gdy woj. przemyskie (dawna Galicja) ma tych miejsc 43,1. Dla pocieszenia można dodać, że wskaźnik w woj. katowickim wynosi tylko 13,1. Zupełnie tragiczna jest pod tym względem sytuacja w białkopodlaskim: wskaźnik 1,7 (!!!). Zamojskie — 9, a Chełmskie (ciężsunowo nieźle) — 31,8. Gorzej, że Białkopodlaskie nie przewiduje żadnych tego typu inwestycji do 1990 r. ...

Wiem, że wszystko to kropia w morzu potrzeb i zawsze łatwiej jest wybić medal niż zbudować dom...

29 VIII. Na targowisku przy ul. Wileńskiej kilogram żółtej fasolki kosztuje 160 złotych. Taką samą, dosłownie taką samą, fasolkę na targowisku przy ul. Lubartowskiej sprzedaje się po zł 80 (osiemdziesiąt) Sto procent różnicy w cenie, przecież to wola o pomstę do nieba! A oba targowiska dzielą odległość zaledwie czterech kilometrów. Tam kupiłeś, tu sprzedać, przecież pieniądze dosłownie leżą na ulicy!

Prasa doniosła, że teraz można bez ela przynieść z zagranicy nie trzy, jak dotąd, ale 15 kilogramów kawy. Prywatny import zapewne się ożywi. Jeśli inaczej nie można (?)... Dziś na targowisku przy ul. Wileńskiej proponowano mi powełkowską kawę (60 centów) za złotych 600. Dolar = tysiąc złotych. Niezły kurs, prawda? Inna rzecz, że dziś i w Peweksie trudno o kawę. Takiej posuchy już dawno nie było!

Interesuje mnie jedno. Bodaj dwa czy trzy lata temu mieliśmy kryzys herbaciany. Udało go się zażegnać i teraz nie ma żadnych kłopotów w tym względzie (do wyboru, do koloru!). Jak to się stało? A czy zakupując dla naszej telewizji serial z Isaurą nie mogliśmy żądać od Brazylji rekompensaty właśnie w postaci kawy?

Zarty żartami, ale pić się chce. Kawę, oczywiście.

30 VIII. Na pierwszej stronie małego (czyli magazynu tygodniowego) „Sztandaru Ludu” Zbigniew Miazga, redaktor, melduje się po urlopie i konstatuje urbi et orbi, że nie licząc chwili poświęconych wysyłaniu pocztówek z serdecznymi pozdrowieniami (do mnie nie dotarła, ach ta pocztka!) przez miesiąc z okładem nie trzymał długopisu w garści. Teraz, jak stwierdza, ów długopis „uwiera w palce” i z mozołem ślizga się po kartce papieru. Po polsku pisze się „uwierać palce” (czy np. spodnie mogą uwierać w...?), ale nie wymagamy za wiele, bo wedle stawu grobla Niemniej otymizmem napawa zamieszczona w tymże małym „Sztandarze” informacyjka, która głosi, że: „W niektórych kołach zbliżonych do Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej coraz głośniej mówi się, iż dalszy szybki rozwój rodzimej medycyny gwarantuje już niedługo wykonywanie w kraju nie tylko przeszczepów serca, ale nawet i mózgow”.

Upiory humoru — że rozwinę temat poruszony w tymże małym „Sztandarze” przez kometkę lubelskiej felietonistki, Kazia Grzeszkowiaka (Kazio dwa dziesięciolecia temu pisywał felietony i w „Kamieniu”) — straszą przede wszystkim na ostatniej stronie magazynu, przy której przedwojenna „Mucha” stanowi Himalaje rozrywki. Brzech pęka ze śmiechu, kiedy się człowiek dowiaduje, że w niedzielę będą obchodzone imieniny: Refurman, Asygnat i Zasiugus, a najmłodniejszy taniec w ramach akcji „Posesja” nazywa się szamba. Autor, autor! — chciałoby się zawołać, albo ułożyć fraszkę w rodzaju: „I w Lublinie Eden znalazł się niedjed” (oczywiście nie Eden Anthony, ale Eden od krokodyli).

Ciesząc się ze szczęśliwego powrotu red. Zbigniewa Miazgi z zagranicznego urlopu (szczegóły, szczegóły!), mam nadzieję, że jego palce szybko wydobrzeją, a on sam będzie nam umiał długie jesienne i zimowe sobotnie wieczory kolejnymi tańcami. Walec lubelski jest na przykład tańcem szczególnie dziś potrzebnym! W roli wodzireja nie widzę jednak Kazia Grzeszkowiaka. Nie od dzisiaj zresztą go nie widzę, ale to temat sam w sobie, do którego może kiedyś powrócę.

Przerwałem na chwilę, bo chciałem obejrzać w telewizji kolejne sprawozdanie z lekkoatletycznych mistrzostw Europy w Stuttgarcie. Po kłesce, jaka spotkała dotychczas występujących naszych reprezentantów, również i Małgorzata Nowak nie zdobyła medalu w siedmioboju, chociaż zaczęła konkurencję obiecująco. Jak więc widać wyjazd polskiej ekipy do RFN miał charak-

ter wybitnie turystyczny. Nie pierwszy to taki wyjazd i zapewne nie ostatni, ale iżw, osoby towarzyszące na pewno swój cel osiągnęły...

31 VIII. Dziś w nocy przyjechała do nas sąsiadka z wieżowca, Maria H., przerażona chwytającym się żyrandolem. „Było to samo, co podczas trzęsienia ziemi w Bukareszcie!” Nie mieszkałam w wieżowcu toteż rzecz zbagatelizowałam, ale Maria H. nie bujała. Dziś w radiu usłyszałam, że faktycznie było trzęsienie ziemi na Bałkanach, choć ponoć obezšlo się bez ofiar w ludziach, ale mieszkańcy Bukaresztu, nauczeni doświadczeniem, woleli noc spędzić pod gołym niebem.

Do Rumunii na korespondenta Polskiej Agencji Prasowej jedzie teraz nasz kolega z lubelskiego oddziału PAP, Staszek Wojnarowicz. Obiecał od czasu do czasu napisać coś i do „Kamienia”. Wolałbym, aby nie była to relacja z trzęsienia ziemi!

Ponieważ PAP wie wszystko, Staszek powiedział mi, że i w Lublinie było w nocy trochę paniki i ludzie zrywali się z łóżek, wybiegali z mieszkań. Nie dziwił się; obejrzawszy w surowym stanie wieżowiec na rogu ul. Narutowicza i ul. Okopowej, bałbym się tam ośledzić nawet po pisemnej gwarancji prezydenta miasta!

1 IX. Czterdziesta siódma rocznica wybuchu drugiej wojny światowej i września 1939 roku nikt z nas nie przeczuwał, że wojna ta potrwa tyle lat i przyniesie tak ogromne ofiary...

Nie mogę sobie przypomnieć, o której konkretnie godzinie dowiedziałem się, że Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę. Ale doskonale pamiętam tajemnicze „koma trzy przeszedł” nadawane w komunikatach radiowych, ten schron, który kopaliśmy w ogródku, te pierwsze bomby, które spadły na Chełm 8 września, jedna w odległości nie większej niż 30 metrów od schronu! I w mej powieści dla młodzieży pt. „Drewniane szable” zawarłem dużo własnych przeżyć. Przez ul. Reformną (dzisiejszą Dzierżyńskiego) w Chełmie przewały się samochody ambasady z chorągiewkami różnych państw, bo akurat ul. Lubelska znajdowała się w przebudowie: kocioł był zastępowany kostką...

A później nasze mieszkanie będąc jednocześnie siedzibą redakcji „Kamienia”, zaludnili pisarze, uciekający na południe z Warszawy. Bodaj pierwszy zjawiał się właśnie 8 września Jerzy Kamil Weintraub. Później przybył Jaku Kurek, Stanisław Wasylewski, Adam Polewka, Wawrzyniec Czeresniowski, Tadeusz Hollender, Eugeniusz Zytomirski... Jakże różnie układały się później ich losy! Weintraub i Hollender wojny nie przeżyli...

Wczoraj telewizja pokazała film w dużej mierze oparty o nie znane w Polsce zdjęcia niemieckie z września 1939 r. Przypomniały mi one wystawę, zorganizowaną niedawno w budynku Reichstagu w Berlinie Zachodnim pt. „Pytania do historii Niemiec”. Specjalna tablica przedstawiała śmiertelne ofiary z drugiej wojny światowej. Na pierwszym miejscu znalazły się... Niemcy, na drugim ZSRR, na trzecim... USA z 229 000 zabitych!

Dziennikarz z pisma „Die Wahrheit” zwrócił uwagę, że spośród 51 nie podpisanych zdjęć na tej wystawie 37 ukazywało zwycięski Wehrmacht w natarciu lub żołnierzy niemieckich w bohaterkich pozach. Trzy foty przedstawiały zwycięskich spadochroniarzy niemieckich na Krete, ale nie było żadnej wzmianki o potwornych zbrodniach wojennych, jakich na tej wyspie i w całej Grecji dopuścili się hitlerowcy. Oglądając wystawę, można przypuszczać, że to właśnie Niemcy wygrali wojnę...

Smutne, że na takich właśnie wystawach wychowuje się młodych Niemców w Berlinie Zachodnim...

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

* W Nałęczowie, Wojciechowie oraz częściowo w Kazimierzu nad Wisłą i Lublinie realizowane są zdjęcia do filmu „Ojcowizna” według scenariusza i w reżyserii Franciszka Trzeciaka. W filmie tym występuje kilku aktorów z lubelskiego Teatru im. Osterwy.

* Chór lubelskiej Akademii Medycznej gościł niedawno w Marsylii, gdzie uczestni-

czył w Międzynarodowych Dniach Spiewu Chóralnego. Zespół dał w sumie 4 koncerty, również w Aix-en-Provence i Bando, zyskując pozytywne recenzje i słowa uznania.

* Dotychczasowy półrocznik „Biuletyn Informacyjny”, wydawany od roku 1971 przez Zarząd Główny Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie, przekształcony został w kwartalnik „Twórczość Ludowa”. Naczelnym zadaniem pisma będzie inspirowanie twórców ludowych do podejmowania problematyki społecznej. Redaktorem naczelnym nowego pisma, wydawanego przez ISW „Prasa — Kultura — Ruch”, jest Stanisław Werenczuk.

* Kolejna ciekawa inicjatywa kulturalna w województwie białkopodlaskim. W Międzyrzeczu Podlaskim od 14 do 21 sierpnia urwały warsztaty muzyczne dla instruktorów i członków amatorskich zespołów we-

kalno-instrumentalnych. Zajęcia prowadzone były przez członków orkiestry Jerzego Miłana. Natomiast w Białce koło Parczewa od 2 sierpnia trwały warsztaty teatralne prowadzone przez aktorów z Białegostoku. W zajęciach uczestniczyły dwa zespoły dziecięce: teatrzyk lajkowy z Janowa Lubelskiego i żywego planu z Rozowa.

* „Po Sopocie, po kłopotach” — jak zwykłiny mawiał, Tegoroczny festiwal przyniósł główną nagrodę piosenkarce amerykańskiej Marze Getz. Ale wydaje nam się, że najbardziej reprezentowała się w imprezie piosenka autorska (Edyta Geppert) i piosenka aktorska (Michał Bajor). Miło nam donieść, że pochodząca z Lublina Beata Kozidrak otrzymała nagrodę firmy „Curtis International”.

* 1 września w Kazimierzu nad Wisłą rozpoczęły się VI wakacyjne kursy dla młodych kompozytorów, organizowane przez Polskie Towarzystwo Muzyki Współczesnej.

* Sygnalizujemy kilka zapowiedzi kulturalnych na najbliższy czas. Atisze Filharmonii zapowiadają „Wzręsenie muzyczne”, na którą złożyła się koncert instrumentalny i wokalne występów artystów z różnych krajów, m. in. z Kuby.

W dniach od 10 do 14 września będzie można oglądać w Lublinie muzyczny teatr Ewy Demarczyk. W ciągu pięciu wieczorów artystka przedstawi klasyczne już pozycje swego repertuaru, wzbogacone piosenkami francuskimi i rosyjskimi.

Interesująco zapowiada się nowy sezon w Teatrze Laiki i Aktora im. Andersena. Najpierw teatr da premierę baśni Eugeniusza Szwarca „Kłowni bracia”. Planuje się w tym sezonie również repertuar dla dorosłych. Będzie bowiem widokowo uboższe z tekstów E. Villona, a także o przypomnienie tradycji muzycznej w Nieświeżu, za sprawą sztuki Urszuli Raziwiłłowej „Opatrzności boskiej dzie-

BOGOWIE POWRACAJĄ

Dokończenie ze str. 1

Nakładają się tu zatem dwie, powiązane ze sobą kwestie: problem wiedzy i problem funkcjonowania psychiki ludzkiej; psychiki, bowiem każdy naród tworzy sobie własną historię, na obraz i podobieństwo swoich potrzeb duchowych, swoich urazów, swoich nienawiści, a wreszcie — swojej psychy. W konsekwencji historia każdego narodu jest w ogromnej mierze fałszywa i nieprawdziwa. Podstawowe fakty pozostają oczywiście niezmiennymi, lecz ich wymowa jest w dużym stopniu przeinaczana, a niektóre z nich są wręcz retuszowane czy interpretowane w sposób bardzo swobodny i odpowiadający zapotrzebowaniu społecznemu. A zatem każdy naród karmiony jest historią, z której nie może się niczego nauczyć, gdyż jest ona z góry zaprogramowana na to, aby spełniać wyłącznie jego oczekiwania. Ujawniają się wówczas tendencje do oglądania przeszłości przez pryzmat heroizmu, osiągnięć, wielkości, słowem — jedynie trendów pozytywnych. Być może, że przejrzałam nieco ten problem, ale każdy, kto zna sposób nauczania historii, przynajmniej w dużej mierze rację. Dodatkowy klopot polega na tym, iż takie patrzenie na przeszłość dotyczy nie tylko poszczególnych narodów, lecz także całych cywilizacji. I tak, historycy europejscy przedstawiają dzieje naszego kontynentu jednostronnie, jako jedynie ważne i podstawowe dla rozwoju ludzkości. Według historyków chińskich, to właśnie Chiny stanowią centrum historycznego rozwoju świata, a cywilizacja islamska uważa siebie za najważniejszą, gdyż wyłącznie islam zna istotę prawdziwej wiary.

Aby zatem historia mogła czegoś nauczyć, trzeba by ją obiektywnie przedstawić, napisać na nowo. Taki trud przekracza jednak możliwości człowieka. Proszę sobie bowiem wyobrazić, że ktoś usiłuje obiektywnie opowiedzieć Polakom ich własną przeszłość. Ilekroć o światłokształtach obalonych, ile młotów rozwinanych, ile urochów (poczynając choćby od pojęcia „Polska — Chrystusem narodów”) musiałoby upaść i ukazać swoją nicotę. Wzruszko byłoby do opowiedzenia na nowo.

Rozmawiamy na terenie Uniwersytetu Jagiellońskiego, a właśnie tutaj, przed stu laty, grono historyków (Bobrzyński, Szulski i inni) wystąpiło z tezą, iż Polacy i tylko oni winni są katastrofę własnego państwa. Bobrzyński powiedział: „Nie mieliśmy rządu i to jest jedyną przyczyną naszego upadku”. Czy pan wie, ile to, na pozór tak logiczne i oczywiste stwierdzenie, wywołało krzyku i protestów? Przeciwny, spotkany na ulicy Polak skłonny byłby obarczać przede wszystkim złych sąsiadów winą za tę katastrofę. A przecież sąsiedzi byli, jacy byli, za to Polska, w pewnych okresach historycznych, przewyższała potęgą nie tylko każdego z nich z osobna, lecz wszystkich razem wziętych. Tej szansy nie potrafiliśmy jednak wykorzystać. To tylko drobny przykład niezrozumienia własnej przeszłości. Jak w tej sytuacji może historia zachować swój walor nauczający?

— Przykłady „Quo Vadis”, „Klaudiusza” pańskich książek wskazują na stale, duże zainteresowanie Polaków starożytnością, a zwłaszcza Rzymem. Czy pan profesor to tłumaczy?

— Ktoś powiedział przed laty w Krakowie, że historię jako naukę można uprawiać jedynie w odniesieniu do starożytności. Nie ma już bowiem starożytnych Greków ani Rzymian. Można więc mówić o nich bez zawziętości, zacierzenia i bez wpływu układów współczesnych na wzięcie przeszłości; możemy ich osądzać i oceniać, nie ryzykując popełnienia niefaktu. Jest to jeden z uroków i walorów zajmowania się starożytnością w sposób naukowy. Historia ta ma jednak także i inny wymiar — choć odległa w czasie, jest zarazem bliska każdemu Europejczykowi. Każdy z nas, choćby tylko podświadomie, zdaje sobie sprawę z tego, że Grecja i Rzym to nasza

wspólna duchowa ojczyzna. Walor atrakcyjności tej historii podnosi jeszcze fakt, że dzieje te są barwne, pełne dramatyzmu a skutki tamtych wydarzeń wciąż obecne we współczesności.

Wspomniał pan „Quo Vadis” — powieść, którą oceniam dość krytycznie i jako powieść, i jako obraz historii, choć nie mogę zaprzeczyć, iż Sienkiewicz przygotowywał się do jej napisania stosunkowo starannie. Wizja, którą nam przedstawił, jest jednak niezwykle obiegowa. To duża strata, gdyż książka opisuje właśnie takie wydarzenia, których skutki wciąż trwają. Prześladowania chrześcijan z 64 roku n.e. stały się bowiem prawdziwym załącznikiem i istotnym początkiem organizacji Kościoła. Bez tych prześladowań chrześcijaństwo podupadłoby najprawdopodobniej i rozplynęło się w morzu innych religii i wyznań, egzystujących wówczas w Cesarstwie Rzymskim. Prześladowania jednak popchnęły je w pewnym kierunku, spowodowały wyrobienie w nim poczucia odrębności, nadały mu tożsamość. I tu, przy okazji, chciałbym rozprawić się z pewnym mitem. Otóż Rzymianie nigdy nie prześladowali chrześcijan za ich wiarę. Byli oni obojętni religijnie. Zaczynem nienawiści i represji stało się rzucenie fałszywie podejrzenie o podpalenie Rzymu. Chrześcijan tepiono więc jako element antypaństwowy, terrorystyczny, jak byśmy dziś powiedzieli. Warto to podkreślić, bowiem w okresie późniejszym historycy, a zwłaszcza powieściopisarze, całe to zagadnienie ujmują w niewłaściwych kategoriach etyczno-religijnych. Przeciwdziałają oni zepsuły, zgnili, rozpustni świat pogan, czystemu, dobremu i szlachetnemu światu chrześcijan. Naturalną konsekwencją takiego założenia jest to, że im mniej prześladowań dobrych. Tymczasem w istocie było inaczej; ani ich nie było zbyt, ani dobry tacy dobrzy. I Sienkiewicz powinien o tym wiedzieć, gdyby tylko przeczytał dokładnie na przykład listy św. Pawła. Dają one wyraźne świadectwo ostrych antagonizmów, nieścisłości, a nawet walk frakcyjnych w łonie młodego ruchu. Dotyczy to również sfery etycznej. (Nie mówiąc już o Apokalipsie św. Jana).

Wracając do istoty pańskiego pytania. Świat antyczny jest więc odległy, co nadaje mu pewne cechy egzotyczne, a zarazem bliski, gdyż z niego się wywodzimy. Tak właśnie tłumaczą owo żywe zainteresowanie antyką, zauważalne zresztą nie tylko u nas. Skoro mówimy o odległości i bliskości, należy zaznaczyć, że nie chodzi tu jedynie o zainteresowanie postaciami czy wydarzeniami z tego okresu. Chodzi o coś głębszego. Tamten świat wciąż żyje w naszym świecie. Interesują nas starożytni, gdyż ich postawa wobec najważniejszych spraw życia coraz bardziej utożsamia się z naszą własną. Z każdym pokoleniem, duchowo i obyczajowo stajemy się im bliżsi, po prostu coraz wyraźniej pogańscy (w dobrym tego słowa znaczeniu). Weźmy na przykład stosunek do ciała i wszystkiego, co z nim związane (sport, zdrowie fizyczne itd.). Obecnie nie wstydzimy się już ciała, akceptujemy je, zakładamy, że powinno być zdrowe, ładne i zgrabne. Jest to stosunek antyczny, przeciwny chrześcijańskiemu, według którego ciało należy pojmować jako coś grzesznego, potępionego, gorszącego, zasługującego na umartwienie. A przecież właśnie taka postawa dominowała w naszej cywilizacji od schyłku IV wieku n.e., kiedy to, z tych właśnie powodów, chrześcijański cesarz Teodozjusz zakazał organizowania igrzysk co trwał aż do roku 1896. roku pierwszej nowożytnej Olimpiady. Współczesna koncepcja tych spraw to zwycięski powrót świata bogów. Tak bogowie powracają, i to nie tylko w tym aspekcie. Obserwujemy dalsze przemiany świadomości w duchu bliskim antycznemu. Powracają postawy sceptycyzmu i racjonalizmu, choć nie odbywa się to bez zakłóceń. Ten właśnie nurt pozostaje jednak bez wątpienia głównym nurtem kształtującym współczesność. Nie jesteśmy już tak podatni na urojenia mistyczne. Inne zmieniają tu niczego przypadki choćby takiego Iranu, bowiem tego typu nawroty religijnego fanatyzmu wynikają raczej z celów do-

rażnie politycznych, ogniskujących sentymenty nacjonalistyczne. Dla nas religia stała się nauką. Epoka Sredniowiecza traci zdolność żywego oddziaływania. Przeszliśmy do pojmowania, jak narody mogły się mordować w imię drobnych różnic dogmatycznych. Morderstwo w imię miłości bliźniego klęci się z naszą koncepcją zdrowego rozsądku. Tak właśnie rodzi się kolejny łącznik ze światem starożytności, światem rozumu i uczciwych proporcji. Dlatego starożytność pozostaje wciąż żywa.

— Panie profesorze, poza działalnością naukową jest pan także literatem, prezesem krakowskiego Oddziału ZLP. Nasz kraj przeszedł niedawno pewien poważny zakręt dziejowy, a sprawy tego okresu nie znalazły odbicia w naszej literaturze lub też było to odbicie znikome. Skoro nasza współczesna literatura nie reaguje na najbardziej żywotne problemy swojego kraju, to czym widzi pan jej nadzieję?

— Sytuacja literatury w naszym kraju nie odbiega od analogicznej sytuacji w innych krajach świata. Generalnie daje się bowiem zauważyć pewien kryzys literatury jako takiej — spadek czytelności, brak wielkich nazwisk, nowych i odkrywczych prądów. Pod tym względem nasza sytuacja jest typowa. Do powszechnego odbioru wkroczyły wszakże nowe środki techniczne — radio, telewizja, pozwalające na bardziej wygodny i skondensowany, słuchowy i obrazowy odbiór wartości artystycznych.

Dlaczego jednak ten ostatni zakręt dziejowy nie znalazł odbicia w naszej literaturze?

Otóż twierdzę, że była tak zawsze. Człowiek współczesny nie potrafi sformułować na gorące syntezę doznawanych, przekżyć. Opóźnienie literatury w stosunku do aktualnych wydarzeń jest niemal regułą. Na przykład wiek XVII znalazł u nas swe odbicie w artystycznej twórczości dopiero w dwa wieki później (Sienkiewicz), czasy napoleońskie w kilkadziesiąt lat po upadku Cesarza (Tolstoj, Zeromski). Nie jest w tym względzie wyjątkiem nawet „Popiół i diament”, bo choć relacjonuje zdarzenia stosunkowo nieodległe w czasie, to przecież pokazuje zaledwie wycinek polskiego życia powojennego, drobny konflikt z szerszymi implikacjami, ale bez cech epopei. Na panoramie tamtych czasów musimy jeszcze poczekać, choć niewykluczone, że nie narodzi się ona nigdy.

W naszej współczesnej literaturze widzę jednak inne sprawy, bardzo bolesne i przykre, sprzyjające jej słabości. Mam na myśli rozłam, jaki w niej nastąpił; okres, kiedy to pewne grupy pisarzy, czy nawet szerzej — twórców, zaczęły uprawianie programowej bojkotu życia kulturalnego. Ten bojkot, będący czymś niewiarygodnym w swym założeniu, wyrządził polskiej kulturze niepowetowane straty — zubożył ją. I choć sam bojkot umarł, to pozostały nowe kompleksy, urazy i bliźny. W konsekwencji nie mamy dzisiaj, na przykład, autentycznej krytyki literackiej. Pewne grupy recenzentów nadal nie zauważają pojawiania się znaczących dzieł sztuki, z tego jedynie powodu, iż się w ogóle ukazują. Dotarła do mnie informacja, że pewien wybitny polski poeta uznał, iż musi ukarać naród za to, że ma taką ustrój, jaki ma. Nie publikuje więc w kraju niczego. Jeśli to prawda — nie znajduję sposobu określenia takiej postawy.

Widzi pan, czasami myślę sobie, że najwięcej możemy się nauczyć od naszych wrogów. Genialną rzecz powiedział kiedyś o nas Bismarck. Stwierdził on mianowicie, że Polacy są poetami w polityce i politykami w poezji. Prawda ta sprawdza się ustawicznie w naszych dziejach. A upolitycznianie na siłę literatury jest równie beznasenne jak poetyczne uprawianie polityki. Proszę także zwrócić uwagę na fakt, że my nigdy nie byliśmy mocną w twórczości literatury dobrej, opartej na solidnym rzemiośle. Dobra powieść dla szerokiego odbiorcy w zasadzie u nas

nie istnieje. Każdy pisarz od razu czuje się noblistą, wieszczem, nauczycielem, warsztatem zaś literackim gardzi. Młodzi twórcy uważają pisanie dobrych powieści za rzecz poniżej własnej godności. Ich zdaniem, powieść powinna być od razu wielką. Mamy więc wielu „geniuszy” i garstkę dobrych literatów. A przecież stała popularność takich pisarzy, jak Kraszewski, Dołęga-Mostowicz, Rodziewiczówna, Bunsch, świadczy o zapotrzebowaniu na prozę uczciwą i solidną. Elita intelektualna wciąż zachłystuje się udziwieniami typu — Witkacy. Ja także go lubię i cenię. W pewnym sensie wyprzedziłem nawet dawno temu owo obecne euforyczne zachwycenie tym pisarzem. Miałem jako chłopiec starszego znajomego, zafascynowanego ową twórczością tak, że i mnie wciągnął w orbitę kultu tego pisarstwa. Ale Witkacy to pewien fenomen, którym w żadnym wypadku nie można żyć na co dzień.

— Powróć jeszcze raz do nauk, które przekazują nam przeszłość. Coraz potężniej odzywają się głosy, że świat znalazł się w punkcie zwrócenia, na niebezpiecznym zakręcie, w obliczu wielkiego zagrożenia. Dysponując ogromną wiedzą o dziejach ludzkości, jak pan profesor widzi nasz czas współczesny, chwila, w której żyjemy?

— Wolamy obecnie, że nasze czasy są nadzwyczajne, niepowtarzalne, że żyjemy w sytuacji absolutnie wyjątkowej. Takie wołania są równie stare jak dzieje ludzkości. Każde pokolenie uważa się za wyjątkowe, a czas, w którym żyje, za niepowtarzalny. Tak było przed pierwszą wojną światową, przed drugą itd. Tak było zawsze. Można by zatem przejść nad tymi wołaniami obojętnie i bez emocji, gdyby tylko nie pokrywały się one z obiektywną rzeczywistością. Tymczasem faktem bezspornym jest, że współczesna ludzkość staje obecnie przed problemami, z którymi dotychczas nie miała do czynienia. Problemy te to: przeludnienie, niewiarygodny rozwój techniki, zachwianie równowagi ekologicznej czy wreszcie groza broni jądrowej. Wszystkie te sprawy są ze sobą integralnie powiązane. Byłoby rzeczą nieodpowiedzialną nie dostrzegać tego. Nie ulega zatem wątpliwości, że istotnie znajdujemy się na niebezpiecznym zakręcie, że idziemy ku niewiadomemu. Dlatego nigdy dosyć głosów ostrzegających!

Receptą na owe zagrożenia może być wyłącznie kierowanie się zasadami zdrowego rozsądku. Ludzkość musi ponownie nauczyć się skromności i pokory. Skromni i pokorni byli bowiem ludzie starożytni. Ile zła wyrządziło nam, Europejczykom obowiązujące od piętnastu wieków przykazanie biblijne: Czyście sobie ziemię poddań! Dzięki chrześcijaństwu zasada ta weszła w dzium w krew. A obecne kłopoty są przecież kwintesencją niewłaściwej postawy człowieka od pokoleń. Nie wolno nam uprawiać kultu techniki i ingerować brutalnie w świat przyrody. Tymczasem już następne z naszych sztandarowych hasel brzmi: Człowiek jest panem stworzenia. Ludzie antyku uważali zaś, że człowiek jest tylko jednym ze stworzeń, że wszystko wokół żyje i wszystko ma równe prawo do życia. To bardzo piękna postawa. Jej odbicie znajdujemy choćby w mitach, które obecnie traktuje się jak bajki pozbawione głębszej treści. A zawierają one przecież prawdę, że ludzie żyli dawniej w sposób bardziej godny, w bliskim związku z przyrodą. Tylko w powrocie do tych zasad widziałbym szansę ratunku. Dość już rozdymania potrzeb materialnych, bezmyślności i braku odpowiedzialności. Hasło: Rozmnażajcie się! — nie może stanowić wskaźnika rozwoju ludzkości pod koniec XX stulecia. Musimy skierować swoje myślenie ku rozumieniu innych kwestii. Wszyscy żyjemy bowiem na tej samej planecie, którą z taką niefrasobliwością uczyniliśmy malutką, zaniedbaną i smutną. Jej przyszły los zależy wyłącznie od nas wszystkich.

Notował: Wiesław Horabik

Wśród wielu inicjatyw konspiracyjnych, rozwijających się na Lubelszczyźnie na przełomie 1939 i 1940 r., jedną ze znaczących była tajna organizacja pod nazwą Związek Czynu Zbrojnego (ZCzZ). O organizacji tej wiemy niewiele. Przekazy o działalności ZCzZ są fragmentaryczne i bardzo często sprzeczne, a w dotychczasowej literaturze historycznej poświęcono mu zaledwie kilka wzmianek. Organizacja powstała w listopadzie 1939 r. w Warszawie w kręgu b. wojskowych, określając się początkowo jako „Grupa A”, by dopiero z początku 1940 r. przyjąć nazwę Związek Czynu Zbrojnego. Inicjatorem i komendantem głównym ZCzZ był ppłk Franciszek Julian Znamirowski („Profesor Witold”), b. członek POW, legionista II Brygady Legionowej, pracujący w okresie międzywojennym na różnych stanowiskach w Wojsku Polskim. Nadał on ZCzZ charakter konspiracyjnej organizacji wojskowej.

J. TEREJ w książce „Na rozstajach dróg” tak charakteryzuje utworzony przez Znamirowskiego Związek: „Organizacja oparta na jednolitej strukturze typu wojskowego, przy znacznym udziale kadry oficerskiej, zarówno zawodowej jak i rezerwy, odrzucając zdecydowanie podporządkowanie się ZWZ, aspirowała do roli ośrodka koncentrującego, a w każdym razie współtworzącego platformę porozumienia organizacji wojskowych nie związanych z ZWZ. W stosunkowo niedługim czasie przyniosło to efekty w postaci Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Niepodległościowych, tworzonych przy współudziale ZCzZ, a w perspektywie kilku miesięcy później Konfederacji Zbrojnej, tworzonej głównie z inicjatywy ZCzZ”.

Należał więc ZCzZ do tych organizacji konspiracyjnych, które, uznając rząd gen. Sikorskiego, nie uznawały nadanej przez niego wiodącej roli Związku Walki Zbrojnej w polskim podziemiu. Istnieją jednak przekazy, że ten stosunek do ZWZ nie był zawsze konsekwentnie jednolity. H. Borucki „Czarny”, b. komendant KOP, w swoich „Notatkach i wspomnieniach z lat 1939—1945” podaje, że w drugiej połowie 1940 r., jeszcze przed utworzeniem Konfederacji Zbrojnej, prawdopodobnie na skutek nacisków z Londynu, ppłk Znamirowski zamierzał uznać zwierzchność ZWZ i w związku z tym przeprowadził szereg rozmów w Komendzie Głównej ZWZ. Napotkał jednak na zdecydowany opór swoich najbliższych współpracowników, grożących w wypadku podporządkowania się ZWZ rozłamem, co zmusiło go do rezygnacji z poprzedniego zamiaru.

Jednocześnie ZCzZ wycofuje się z uczestnictwa w Komitecie Porozumiewawczej Organizacji Niepodległościowych, kierując swoje zainteresowanie ku współpracy z Tajną Armią Polską (TAP), Gwardią Obrony Narodowej (GON), „Pobudką”, „Wawelem” i „Znakiem”, z którymi łączyła go wspólna płaszczyzna ideologiczna o cechach wyraźnie narodowo-katolickich. Współpraca ta zaowocowała utworzeniem Konfederacji Zbrojnej (październik 1940), stanowiącej następnie formację wojskową „Konfederacji Narodu” — przybudówki Obozu Narodowo-Radykalnego „Falangi” (odłam endecki). W inicjatywie tej ZCzZ odegrał jedną z czołowych ról.

Wymienione powyżej wyróżniki ideologiczne ZCzZ zatracaly swe cechy w miarę rozwoju liczebności i organizacyjnego. Zresztą „wehowanie w teren” zmieniało eklektyzizm polityczny i charakter większości grup i organizacji konspiracyjnych, zwłaszcza w pierwszych latach okupacji. O wstąpieniu bowiem do tej lub innej organizacji decydował najczęściej przypadek, rzadziej natomiast przesłanki ideologiczne czy polityczne. Stąd też ZCzZ w okręgu lubelskim nie odróżniał się niczym szczególnym od wielu innych tajnych grup i organizacji. Był po prostu związkiem ludzi szukających w konspiracji odwetu za agresję i okupację niemiecką. Takim zapamiętali go b. jego działacze i członkowie.

Obok Warszawy Związek Czynu Zbrojnego rozwijał się w województwach: warszawskim, kieleckim, lubelskim i krakowskim. Według rozeznania gestapa, potwierdzonego w ustaleniach historyków, najbliższe ośrodki (oddziały) organizacji istniały w Zamościu, Lublinie, Kielcach, Częstochowie, Radomiu, Jędrzejowie, Tarnowie, Krakowie, Nowym Sączu, Zyrardowie i Płońsku. Najczęściej podaje się, że organizacja w szczytowym momencie rozwoju, tj. w końcu 1940 r., zdolała skupić kilkanaście tysięcy ludzi. Czy tak było rzeczywiście? Jeśli uwzględnimy fakt, że organizacja lubelska ZCzZ, zaliczana do silniejszych, liczyła kilkaset ludzi, to szacunek ten należy uznać za zawyżony.

Pierwsze komórki Związku Czynu Zbrojnego w województwie lubelskim powstały już w grudniu 1939 r., a więc w okresie, kiedy nie upowszechniła się jeszcze późniejsza oficjalna nazwa. Organizował je kpt. Czesław Mieczysław Michaliszyn ps. Siwy, Sławek (ur. 31 grudnia 1901, stracony jako major AK w Magdalence pod Warszawą 27/28 maja 1942 r.), oficer zawodowy 23 pp, który późną jesienią zamieszkał w Lublinie. Został on tu skierowany przez ppłk. Znamirowskiego („Profesor Witold”) w charakterze komendanta okręgu ZCzZ. W stosunkowo krótkim czasie, z początku głównie poprzez swoich podkomendanych z pułku, udało mu się utworzyć placówki ZCzZ na Podlasiu, w powiecie zamojskim, krasnostawskim oraz w Lublinie i zachodniej części powiatu lubelskiego. Nie w pełni zweryfikowane przekazy podają, że organizacja ZCzZ powstała również w Hrubieszowie.

Najmniej wiemy o działalności ZCzZ na Podlasiu. Prawdopodobnie istniał on tam bardzo krótko i „wtopił” się w silniejsze struktury TAP-u. Z kolei

i ta organizacja bardzo szybko zakończyła swoją działalność, łącząc się z ZWZ.

Stosunkowo silnym ośrodkiem Związku Czynu Zbrojnego stały się od wiosny 1940 r. osada i gmina Nielisz w powiecie zamojskim. Organizował go tu ppor. rez. Mazur. Znalazł on wielu zwolenników nie tylko w gminie Nielisz, ale i w przyległej do powiatu zamojskiego gminie Turobin w powiecie krasnostawskim, gdzie sieć konspiracyjną ZCzZ zawiązywał nie ustalony z nazwiska adwokat zwolennik orientacji narodowej. Orientację tę zaszczerpił komórkom konspiracyjnym ZCzZ m.in. we wsiach Majdany, Średnie i Maszów Średni. Stąd też organizacja w tym rejonie miała wyraźne oblicze antyżetwuzetowskie i przez dłuższy czas opierała się silniejszej tu, miejscowej placówce ZWZ. „Kilka razy rozmawiałem z przedstawicielami tej organizacji — pisze w relacji J. Jarosz „Kosiba”, b. oficer wywiadu w obwodzie AK Krasnostaw. — Rozmowy nie dały żadnych rezultatów. Dopiero później dowódca plutonu i organizator ZWZ w Majdanach wpłynął na zwolenników tej organizacji i włączył ich do swojego plutonu”.

Po klęsce wrześniowej Związek Czynu Zbrojnego

Ireneusz Caban

Również członkowie ZCzZ z gminy Nielisz znaleźli się później w większości w ZWZ. Na tej drodze w strukturach ZWZ-AK znalazł się późniejszy dowódca oddziału partyzanckiego 9 pp AK ppor. Tadeusz Kunczewicz („Podkowa”). Dzieje grupy nieliskiej ZCzZ nie są w pełni znane, nie wiadomo np., kiedy i w jakich okolicznościach scaliła się ona z ZWZ; można jedynie sądzić, że w pewnym momencie utraciła ona kontakt ze swoim ośrodkiem dyspozycyjnym w Lublinie.

Największe jednak wpływy w województwie lubelskim zdobył sobie ZCzZ w podlubelskich gminach Konopnica, Wojciechów, Bełżyce i Jastków. Zainicjował go tu podoficer zawodowy 23 pp Stanisław Łukasik („Rys”), rodzinnie związany z Motyczem (gm. Konopnica). Już w grudniu 1939 r. nawiązał on w Lublinie kontakt z kpt. Michaliszynie, który zaprzysiął go do organizacji i mianował komendantem rejonu (ZCzZ, jak wiele innych organizacji, odwzorowywał w pewnym sensie struktury terytorialne dawnej POW). Łukasik wciągnął do konspiracji swoich braci, Adama i Mariana, powierzając pierwszemu funkcję komendanta placówki Motycz (Konopnica). W kwietniu 1940 r. utworzono placówkę ZCzZ w Wojciechowie, którą organizował i dowodził, zamieszkały w Palikajach, pchor. piech. Zbigniew Gadecki („Demon”). W Jastkowie komendantem placówki mianowano krewnego Łukasika, miejscowego wójta Chojaja („Jelek”). Najpóźniej w tym rejonie powstała placówka w Bełżycach, którą zorganizował Stanisław Miśkiewicz („Chmurek”).

Do konspiracji werbowano przede wszystkim rezerwistów: podoficerów i szeregowców, najczęściej z grona ludzi już wcześniej związanych formalnymi lub nieformalnymi więzami. Pod koniec 1940 r. ZCzZ zdolał już dość dobrze opanować organizacyjny teren, zwłaszcza wokół stacji Motycz. Jak podaje b. komendant placówki Motycz (Konopnica) A. Łukasik („Dziadzia”), „bez oporów garnęła się do konspiracji młodzież. Starsi — szczególnie po upadku Francji — byli ostrożni”. Placówki ZCzZ w tym rejonie liczyły od kilkunastu do kilkudziesięciu zaprzysiężonych członków. Najliczniejsza była placówka Motycz, licząca w szczytowym okresie rozwoju około 40 ludzi.

O wiele słabsze były w tym rejonie zarówno KOP jak i ZWZ (silna w okolicy OW „Unia” zaczęła rozwijać się później w oparciu o rozbitą KOP). W drugiej połowie 1940 r. i pierwszej 1941 r. przeżywały one stagnację organizacyjną, spowodowaną licznymi aresztowaniami działaczy szczebla obwodowego, co sprawiło, że wobec braku kontaktów ludzie z tych organizacji nawiązywali łączność lub przechodzili do ZCzZ. W przeciwieństwie do KOP i ZWZ organizację ZCzZ ominęły aresztowania i „wasy” — Wynikało to z faktu, że ZCzZ rozwijał się w tym rejonie w kręgu ludzi mniej znanych przed wojną z działalności politycznej czy społecznej. W tych warunkach ZCzZ stał się tu w początkach okupacji najsilniejszą organizacją konspiracyjną.

Oprócz działalności o charakterze organizacyjnym, główną uwagą ZCzZ skupiał na kolportowaniu prasy konspiracyjnej. Poprzez stację Motycz dochodziła tu prasa różnych ugrupowań konspiracyjnych, która przez członków ZCzZ była kolportowana w dość rozległym terenie.

W lecie 1940 r. rejon ZCzZ, kierowany przez S. Łukasika („Rys”), wizytował komendant okręgu kpt. Cz. Michaliszyn („Siwy”). Dokonał on przeglądu placówek i zalecił dalsze werbowanie członków, a szczególnie wyszukiwanie oficerów, których brak odczuwała lubelska organizacja ZCzZ. Podczas wizytacji — jak podaje b. komendant placówki Wojciechów Z. Gadecki („Demon”) — Michaliszyn zwracał uwagę na utrzymanie wojskowego charakteru organizacji, podkreślając, że ZCzZ jest „wojskiem w podziemiu”.

Po ogłoszeniu przez ppłk. Znamirowskiego („Profesor”) decyzji o przystąpieniu ZCzZ do Konfederacji Zbrojnej nastąpił w organizacji rozłam. Część działaczy Komendy Głównej i większość terenowych odrzuciła narodową platformę zjednoczenia w ramach Konfederacji i po naradach regionalnych w Warszawie, Radomiu oraz w Lublinie postanowiła nie wchodzić do Konfederacji Zbrojnej i kontynuować działalność w ramach samodzielnej organizacji pod dawną nazwą. Na czele nowo utworzonej Komendy Głównej ZCzZ stanął dotychczasowy zastępca ppłk. Znamirowskiego, prawnik Wilhelm Maćko („Sędzia”). Za nową komendą opowiedziały się większość organizacji terenowych, w tym i okręg lubelski. W tej sytuacji na przełomie 1940 r. i 1941 r. jako organizacja ZCzZ, liczył się tylko ten odłam, który nie przyjął platformy politycznej Konfederacji Zbrojnej.

Sam Znamirowski, jakkolwiek był jednym z inicjatorów Konfederacji i pełnił w niej funkcję szefa Oddziału VI-inspekcyjnego, po pewnym czasie wycofał się z niej, aby po okresie samodzielnego funkcjonowania kierowanej przez niego części ZCzZ, przejść do ZWZ, gdzie do aresztowania w grudniu 1942 r. był inspektorem Wojskowej Służby Ochrony Powstania (WOSP).

Nowo utworzona Komenda Główna ZCzZ kierowała organizacją przez kilka miesięcy. W tym czasie następuje wyraźna zmiana w orientacji politycznej Związku. Ponownie odżyła współpraca z KOP i współdziałającymi z nim organizacjami, między innymi w Lubelskiem ZCzZ nawiązał kontakt z tajną grupą ludowo-radykalną z rejonu Piask — „Zemsta”. W tym też czasie następuje zbliżenie ZCzZ z Polską Organizacją Zbrojną (POZ), które wkrótce zaowocowało wejściem Związku w jej struktury organizacyjne. POZ, stanowiąca formację zbrojną „Racławie”, należała wówczas do silniejszych organizacji konspiracyjnych działających na terenach okupowanych (poza Poznańskiem), a jej VII Okręg-lubelski był zaliczany do najliczniejszych.

Bliższe okoliczności, a także i sama data scalenia ZCzZ z POZ, nie są znane. Prawdopodobnie decyzję o scaleniu podjęto na przełomie 1940 r. i 1941 r. Meldunek Organizacyjny nr 63 Komendanta Głównego ZWZ, noszący datę 1 kwietnia 1941 r., mówi już o „dołączeniu” do POZ wszystkich okręgów, poza krakowskim. Skądinąd wiadomo, że ten ostatni nie uznał scalenia z POZ i połączył się z organizacją „KŁON”, tj. jedną z grup wojskowych o zabarwieniu narodowym.

Sam proces scalenia przebiegał przez dłuższy czas. B. działacze ZCzZ z okręgu lubelskiego skłonni są datować je na koniec 1941 r., choć musiało to nastąpić wcześniej, gdyż już w połowie tego roku b. komendant okręgu, kpt. Cz. Michaliszyn („Sławek”), pełnił w sztabie okręgu VII POZ funkcję oficera organizacyjnego.

Scalenie z POZ w okręgu nie napotkało na żadne trudności i w świadomości b. działaczy ZCzZ utrwaliło się nie jako formalny akt scalenia, lecz jako „zmiana przez ZCzZ nazwy na POZ”. Wynikało to z faktu, że — po pierwsze — przed scaleniem obie organizacje nie miały bezpośredniej styczności, gdyż POZ nie utworzył tu swoich komórek, po drugie — wejście do POZ nie spowodowało w rejonie wpływów ZCzZ żadnych zmian organizacyjnych. Komendantami placówek pozostali ci sami ludzie, zresztą rzecz eklektyczna, nawet później, kiedy z kolei POZ scaliła się z AK, zmiany na tym terenie były niewielkie. Powstały w 1942 roku rejon AK (Konopnica, Bełżyce, Wojciechów i Jastków) rozwijał się faktycznie w oparciu o dawny Związek Czynu Zbrojnego. Z tej organizacji wywodził się nie tylko późniejszy dowódca oddziału partyzanckiego 7 pp AK Stanisław Łukasik („Rys”), ale także część jego członków. Również wielu dowódców plutonów AK związało się z konspiracją jeszcze w okresie istnienia ZCzZ.

Czy szkołę stać na zabytkowy obiekt?

Sycenie wilka dla ocalenia owcy

Marta Benys

WEZMY na przykład — a będzie to przykład wyjątkowy — XVIII-wieczny pałac w Niezdowie. Istnieją przesłanki, iż tę klasycystyczną perelę projektował sam Dominik Merlini. Oprawą dla niej był pierwotnie barokowy, a dwa wieki później rozrosły i wyiększany, według koncepcji Waleriana Kronenberga, 15-hektarowy park krajobrazowy, który, o dziwo, przetrwał dwie wojny światowe, wychodząc z nich z okrojonym co prawda obszarem, ale niewiele co przetrzebioną szafą. W każdej więc chwili, gdyby taka korzystna dla parku chwila zaistniała, przywrócić mu można ów okazały stan z początku XX wieku. Dlaczego by nie? Tym bardziej, że pałac odnowiony został niedawno zgodnie ze wszelką sztuką konserwatorską tak, jakby go stawiał sam... Merlini.

Kłopoty jednakże z codziennym utrzymaniem parku, pałacu i podworskich oficyn, rozkładające się na trzech, ale za to niezamożnych właścicieli: miasto, szkołę i siostry zakonne ze Zgromadzenia Miłosierdzia, nie sprzyjają rychłemu skojarzeniu organicznych części cennego zespołu zabytkowego; mało poddają w wątpliwość — w przypadku chociażby szkoły — dalszą opłacalność bytowania w pałacowym obiekcie tej klasy.

I tu dochodzić będziemy sedna wywoływanego w tytule wilka, owcy i pytania, czy szkołę stać na zabytkowy obiekt?

W 1981 roku Zespół Szkół Zawodowych w Opolu Lubelskim otrzymał ów XVIII-wieczny pałac w Niezdowie w sukcesji po — licząc od czasu upaństwowienia tego obiektu — biurach PGRN, ośrodku kolonijno-wczasowym Lubelskiego Zjednoczenia Przemysłu Budowlanego i Zasadniczej Szkole Wielozawodowej.

Po wyprowadzeniu się tej ostatniej placówki do liceum ogólnokształcącego w Opolu Lubelskim pałac pozostawał przez pewien czas bezpański. Rodziły się więc różne pomysły na ówczesną modę, by urządzić tu albo ośrodek kurso-konferencyjny, albo miejski dom kultury, albo przedszkole — w sumie, i z osobna, potrzebne miastu placówki.

Tymczasem zaś Zasadnicza Szkoła Wielozawodowa gnieść się zaczęła w niedobrajnym związku współlokatorskim z liceum, co wywołało zrozumiałe niezadowolenie opolskiej społeczności. Pod jej poniekąd ciśnieniem KOiW w Lublinie powołano nowy Zespół Szkół Zawodowych, nadając mu siedzibę w niezdowskim pałacu.

Dyrekcję tej odnowionej organizacyjnie placówki objął Andrzej Nowakowski. Doświadczalne nabyte przy remoncie poprzedniej szkoły, mieszczącej się także w pałacu, a było to LO w Opolu Lubelskim właśnie, któremu Andrzej Nowakowski od 1969 roku dyrektował, jego pasje i zainteresowania historia sztuki i ochrona zabytków oraz pilna potrzeba chwili spręgnęły się byty w kompetencjach szefa ZSZ. — można by rzec — idealnie.

W połowie lutego 1982 roku uczniowie ZSZ zasiedli już w ławkach, mając nad głowami stiuki, gzymsy, kapiące, panoplia, rozety — nie widziany to dotąd w szkołach, tak bogaty wystrój klas. Sala kolumnowa — dwukondygnacyjna — przyprawiała o prawdziwy zawrót głowy. Tak też i nie jeden opolski żak łapał kolegę za ramię, by wspierając się pewnie, przyjrzyć się wszystkim rozetom, czy aby podobne, czy się zaś różnią od siebie? Jak zbiegają się u szczytu kopuły rozjaśnionej szklanym „oknem”? A piece, lśniące, białe z mosiężnymi ozdobami?

— Ty — szturchał jeden drugiego — patrz pół-faceta, pół-konia, ale draka!

— A te kobity nad wejściem?

— To boginie, nie słyszałeś, jak pan mówi?

— I ten, no... portyk i herb Lubomirskich czy jak?

— Kto by spamiętał to wszystko?

A spamiętać trzeba i robi to każdy nowy uczniowski „nabór” do szkoły. Więc nasłuchują pilnie na pierwszej lekcji o wsi Niezdowie. Kto by pomyślał, że taka wiekowa, wzmiankowana już w 1626 roku jako własność Słupcekich, a potem Butlerów, Dunin-Borkowskich, Tarłów, Lubomirskich, Rzewuskich i Kleniewskich, żeby wymienić tych najważniejszych.

Kto zbudował pałac? A pewna piękna pani z... z... tak jest tego samego właśnie na Ukrainie — Rozalia z Chodkiewiczów Lubomirska i jej mąż — Aleksander Lubomirski (kasztelan kijowski) w latach 1785—87, według projektu — tak na to wygląda — Merliniego, z talentu i usług którego korzystali już byli wcześniej Lubomirscy, przebudowując główną swą rezydencję w Opolu Lubelskim, jedną z pierwszych siedzib magnackich w Polsce łamtych czasów.

Piękną Rozalię porwał jednak Paryż, gdzie doznała wielu, także i królewskich zaszczytów, ale i gdzie, wyrokiem bezlitosnego Trybunału Rewolucyjnego, została skazana na gilotynę. Ścięto jej głowę w 1794 roku. Nie pomogły interwencje nawet samego Kościuszki ani inne, dramatyczne wręcz zabiegi o ratowanie życia. Zginęła, mając zaledwie 26 lat. Pozostawiła czteroletnią córeczkę Aleksandrę, która w przyszłości poślubiła miłośnika ówczesnego emira Tadz-ul-Fehra — Wacława... Rzewuskiego.



wódzki Konserwator Zabytków, Urząd Miasta i Gminy w Opolu Lubelskim oraz zakłady patronackie, szczególnie oddział KPKS.

Malowanie sali kolumnowej kosztowało prawie milion złotych, w tym samo ustawienie i demontaż 15-metrowych rusztowań i narzut za pracę na wysokości — 200 tys. zł. Niezbyt chętnie malowany jest przez rzemieślników tak liczny detal dekoracyjny; to dłubanina — mówią. Ale wykonali pracę szybko i precyzyjnie. Jedne tylko drewniane drzwi z futryną kosztują około 100 tys. złotych. Wykonał je Bogdan Banach — stolarz — tak, że nowe wyglądają jak „stare” — zabytkowe. To także jest sztuka. Wiele pracy i kunsztu włożyli tu miejscowi rzemieślnicy — Jan Myczkowski — roboty blacharskie, Krzysztof Ciężczyk — malarskie, Zdzisław Birbach — ślusarstwo, a więc nie tylko sam Merlini. Sztukaterie to dzieło

Fot. Biuro Dokumentacji Zabytków

Ale historii jeszcze nie koniec. A Maria i Jan Kleniewscy? Znani w tym regionie propagatorzy uprawy buraków cukrowych, znawcy i kolekcjonerzy dzieł sztuki? Ich to potomkowie gospodarzyli w niezdowskim pałacu do wybuchu drugiej wojny światowej. W czasie okupacji była tu siedziba gestapo i landkomisarza Opolu Lubelskiego. Miejscowi ludzie dobrze pamiętają, kogo tutaj przywożono i męczono. Wieś nie była objęta, działał tutaj ruch oporu.

Dyrektor Nowakowski skrzętnie zebrał i opracował materiały dotyczące przeszłości Niezdowa, tradycji ludowego czytelnictwa, ruchu ludowego, akcji partyzanckich, dziejów pałacu i majątku oraz walorów krajobrazowych i przyrodniczych parku.

— To wszystko jest ważne, by młodzież wiedziała — powiedział mi w czasie naszej rozmowy — w jakiej to szkole zdobywać będzie wiedzę i zawód, jaką wartość dodatkową przyniesie jej ten pierwszy, nawiązany tutaj kontakt ze sztuką i nawyk, oby jak najrwałszy, poszanowania jej dzieł i przykładów.

Zdają sobie sprawę z tego nauczyciele, że ciągle patrzenie „na ręce” uczniów jest kłopotliwe i uciążliwe, ale i nieodzowne. Tutaj tak zwana młodość nie może się „wyszumieć” na przerwach, tak jak w innych szkołach, ani jeden element dekoracji i wystroju nie może ponieść na tym szwanku. Bo to kosztuje! Także i uczniów. Upamiętnieni są o tym oni sami i ich rodzice.

Koszt remontu szkoły, dokonany w kilkunastymiesięcznym tempie, był wysoki, wyniósł około 14 milionów złotych. W głównej mierze przedsięwzięcie to finansowało KOiW w Lublinie, Woje-

parku. Nie ma ani korytarzy, ani też auli, która by pomieściła około 400 uczniów szkoły. Jest biblioteka, pięć sal do nauki, wspomniana świetlica, pokój nauczycielski, trzy pracownie z całym zapleczem, trzy łazienki i żeliwne, zabytkowe schody, gdzie wymiana jednego stopnia kosztuje 38 tys. złotych. No i są jeszcze w parku trzy drewniane baraki. Do nich to właśnie dyrektor Nowakowski „wyrzucił” warsztaty, zgodnie z zaleceniem konserwatorskim, by nie wprowadzać do wnętrza pałacu funkcji uciążliwych, na przykład pracowni o profilu technicznym, z natury swej kolidujących z charakterem pałacowych wnętrz i zasadami właściwego ich użytkowania.

Pomimo elektrycznych pieców, w pałacu jest zimno. Wieje od ogromnych okien, trudnych do uszczelnienia. Trzeba by wymienić całą okienną stolarkę, tylko kto to sfinansuje, kiedy w szkolnej kiesi chudo? Piece kaflowe, choć piękne, lecz lodowate. Stare już i zniszczone, tkną jeden kafeł, polecą inne, a wtedy trzeba na nowo je odlewać. Zwykle umyć na zewnątrz okien wymaga drabiny... strażackiej, też nie za darmo.

W szkole-pałacu i barakach jest ciasno. Nie sposób przyjąć więcej niż cztery setki uczniów (na dwie półtygodniowe zmiany), choć zainteresowanie młodzieży nauką tutaj jest duże, a i zapotrzebowanie na młodych fachowców stałe.

Spisujemy więc z dyrektorem Nowakowskim dalsze minusy luksusu rezydowania szkoły w obiekcie zabytkowym: nietypowość budowli, jej wybitne nieprzystosowanie do celów szkolnych, ani pod względem sanitarnym, ani komunikacji wewnętrznej, ani oświetlenia, ogrzania, odpowiednich sal, auli, korytarzy, ciągle narastające cennych detali i elementów dekoracyjnych na nieumyślnie uszkodzenia, już poprzez sam ruch „masy” młodzieży.

A plusy? Wpływ na atmosferę pracy wychowawczej, powaga miejsca, swoista duma z przebywania w niezwykłym, zabytkowym obiekcie, kształcenie wrażliwości estetycznej, wiedzy o sztuce, historii, łączenie jej ze współczesnością, zasadami socjalizmu, dającymi równouprawnienie społeczne, dostęp do nauki i dóbr kultury... Plusem jest także aktywny udział młodzieży w pracach na rzecz szkoły i parku oraz wyrozumiałość i ofiarność ze strony kadry nauczycielskiej. I to ciągle, codzienne staranie, by wilk był syty i owca cała. By „wilcze apetyty” rosły z każdym rokiem potrzeb szkolnych — co jest zrozumiałe — mogły być w miarę możliwości nasycone bez uszczerbku dla całości zabytkowego obiektu.

Nie jest to łatwe, i wielkiej dyplomacji dokazywać musi dyrektor Nowakowski, by jedno z drugim pogodzić. Chciałby — na przykład — uporządkować według zaleceń konserwatorskich część szkolną parku i jednocześnie wywiązać się z poleceń wszelkich komisji i inspekcji, ale jak, kiedy możliwości zdają się już być wyczerpane „ciurkiem”? Finansowe i lokalowe. Nie, stanowczo szkołę nie stać na taki obiekt zabytkowy. Nawet najlepsze zabiegi konserwatorskie nie poprawią ani na jotę warunków pracy dydaktycznej i warunków socjalnych. Jakże często, niepostrzeżenie, owca przybiera postać... wilka. I nie zbytek służy szkole, a wręcz odwrotnie! Brutalna to konkluzja. Nie wypowiada jej dyrektor Nowakowski; z wyrzutem, zbyt dobrze rozumie rację zabytku i rację szkoły, by miał z nich rezygnować i składać broń. Szkoła znalazła tu swoje miejsce w najtrudniejszym dla niej, bezdomnym okresie. To też się liczy. Jak również i to, że odzyskane tu i ochronione zostało dobro kultury narodowej.

ZBYT drogie jest mi Zakopane — pisał w jednym ze swych artykułów Kornel Makuszyński — bym mu chciał czymkolwiek zaszkodzić, zbyt wiele literatura przeżyła tam chwil górnych i ślicznych, by największy cynik literacki nie miłował tego miasteczka. A gdzie indziej jakby uzupełniał tę myśl: śliczne słońce zakopiańskie, zawsze uśmiechnięte i przyjazne, witało starych znajomych mruganiem złotych oczu, ogrzewało miłośnię starość Witkiewicza, kłaniało się Sienkiewiczowi, rozpromieniało Skalne Podhale Tetmajerowi, piło złote wino z Orkanem, przyglądało się szeroko otwartymi oczyma Zeromskiemu, promiennym krzykiem witało co rano w Poroninie Kasprowicza, kiwało z uśmiechem głową, patrząc na roześmianą czeredę młodzieży poetyckiej i malarskiej.



Portret Makuszyńskiego pędzla W. Wachta (1912 r.).

Repr. Andrzej Salwa

Dziś dawne spokojne miasteczko, w którym można było pojsć do słynnego Treski lub Karpowicza, aby tam przy stoliku wiesć w gronie przyjaciół długie artystyczne dyskusje, zmieniło się we wczasowo-turystyczną „metropolię” u stóp Giewontu. Trudno w samochodowym zamęcie oraz zgiełku tłumów, ciągnących zwartą lawą przez pękające w szwach Krupówki, odnaleźć almuśnię owego Zakopanego tak bliskiego sercu Kornela Makuszyńskiego. Tysiące wczasowiczów i wycieczkowiczów, przybywających do „stolicy Tatr”, za deptuje dokładnie nie tylko Gubałówkę, Giewont, Kasprowy i Czerwone Wierchy, ale także specyfikę i atmosferę dawnego azylu artystów.

Choć kiedy skręci się z Krupówek przy restauracji „Watra” w prawo, w ulicę Kazimierza Przerwy Tetmajera, już po przejściu kilkadziesiątu metrów zaczynamy wkraczać w atmosferę spokojniejszą, mniej uczeszaną w rejon przedwojennych willi otoczonych murkami. Jeszcze chwilę i zatrzymujemy się przed stojącą przy samej ulicy, dwupiętrową „Opolanką”. Na pierwszym piętrze, u drzwi na prawo, mała mosiężna tabliczka przy dzwonku: „Kornel Makuszyński”. Można zadzwonić i znaleźć się w mieszkaniu, w którym spędził ostatnie lata życia autor „Awantury o Basię”, „Panny z mokra głową”, „Sztana z siódmej klasy” i „Przygód Koziołka Matołka”.

Muzeum im. Kornela Makuszyńskiego przy ul. Tetmajera 15 powstało w 1966 r. jako oddział zakopiańskiego Muzeum Tatrzańskiego. Zorganizowano je w dawnym mieszkaniu Janiny i Kornela Makuszyńskich w willi „Opolanka”, które pisarz wynajmował od 1935 r., przyjeżdżając co roku do Zakopanego na długie zimowe i letnie miesiące, a po ostatniej wojnie osiadł tu na stałe. Tutaj też 31 lipca 1953 r. Kornel Makuszyński zakończył swoje życie.

Janina Gluzińska-Makuszyńska darowała wyposażenie mieszkania wraz z pamiątkami po mężu, jego biblioteka i cennymi zbiorami obrazów wybitnych polskich malarzy oraz innych dzieł sztuki, Muzeum Tatrzańskiemu. Stało się to podstawą do zorganizowania drugiego — po Kasprowiczowskiej „Harendzie” w niedalekim Poroninie — muzeum literackiego na tutejszym terenie. Dzisiaj w czterech pomieszczeniach dawnego mieszkania Kornela Makuszyńskiego wiszą, jak za dawnych lat, dziesiątki obrazów i fotografii, prawie dokładnie zakrywających ściany, stoją osiemnasto- i dziewiętnastowieczne meble; szafy, wygodne fotele, bidermeierowskie krzesła, drewniany tabor inkrustowany kością słoniową i masą perłową, stolik do gry w karty, wahadłowe lustro, sepet

skiego, nieznanego rękopis wierszowanego opowiadania dla dzieci: „Za króla Piasta Polska wyrasta” napisanego przez Kornela Makuszyńskiego najprawdopodobniej niedługo przed wybuchem drugiej wojny światowej. Tekst był już opracowany edytorsko i przygotowany do druku. Brakowało natomiast ilustracji, które zapewne, jak w wypadku przygód Koziołka Matołka oraz maipki Fiki Miki, miał przygotować Marian Walentynowicz, gdy tymczasem nadszedł wrzesień 1939 roku. Ostatecznie „Za króla Piasta...” — z ilustracjami Andrzeja Darowskiego — wydało krakowskie Wydawnictwo Literackie w 1982 r.

O latach życia i twórczości, a także działalności społecznej Kornela Makuszyńskiego w Zakopanem większość miłośników jego książek wie właściwie

czemu, w latach 1908—1910 studiował w Paryżu. Mając lat osiemnaście, zadebiutował jako poeta na łamach „Słowa Polskiego”, którego dodatek literacki redagował Jan Kasprowicz. Od tamtego czasu datała się znajomość obu pisarzy, która później miała przebiegać w przyjaźni. W roku 1910 po powrocie z paryskich studiów został Makuszyński recenzentem teatralnym w „Słowie Polskim” i to był początek jego wieloletnich związków z teatrem. Jako krytyka i jako kierownika literackiego w teatrach. W 1915 r. był współorganizatorem i kierownikiem literackim Teatru Miejskiego we Lwowie, później w Kijowie został kierownikiem literackim Teatru Polskiego, prowadzonego przez Stanisławę Wysoczką. Debiutem książkowym Makuszyńskiego był zbiór wierszy „Połów

Kornel Makuszyński -zakopianskie lata

Mirosław Derecki

z metalowymi okuciami. Obok obrazów na ścianach wschodnie tkaniny z XIX w., dużo dobrej, przez całe lata zbieranej, porcelany — angielskiej, chińskiej, japońskiej, duńskiej, niemieckiej. Na biurku, na sekretarzykach — stare zegary, perski modlitewnik.

Część wyposażenia mieszkania to rodzinne meble i pamiątki Janiny Makuszyńskiej. Obrazy w znacznej części zostały Kornelowi Makuszyńskiemu подарowane przez jego licznych przyjaciół-malarzy. Jeszcze inne przedmioty i dzieła sztuki stanowią owoc pasji kolekcjonerskich obojga małżonków. W szafach liczne książki. Niestety, jest to zaledwie część wielkiej biblioteki pisarza z jego warszawskiego mieszkania w Alei Róż, zniszczonego najpierw we wrześniu 1939 r., a następnie w czasie Powstania Warszawskiego.

W gabinecie Kornela Makuszyńskiego stoi biurko — dar redakcji „Rzeczpospolitej”, w której był w latach 1920—1924 redaktorem literackim i krytykiem teatralnym. Na biurku — gipsowy odlew ręki; nad biurkiem na ścianie — maska podnietna Makuszyńskiego. To dla podkreślenia, że człowiek, który przy biurku zasiadał przez tyle lat, nie ma już wśród żywych. Ale poza tym wszystko w gabinecie pozostało tak, jak za czasów, kiedy Kornel Makuszyński żył i tutaj tworzył; na blacie biurka leży jego notatnik, kalamarz i pióro (zwyczajna obsadka ze stalówką), noże do papieru, pudełko z talia kart, oprawione w ramki zdjęcie żony, fotografia Makuszyńskiego z Janem Kasprowiczem. Ze ścian spoglądają obrazy Wyspiańskiego, Falata, Sichulskiego, Mackiewicza, Krzyżanowskiego, Słoczyńskiego, Włodzimierza Tetmajera, Styki, Stryjeńskiej i wielu jeszcze innych malarzy. Wiszą portrety samego pisarza, malowane przez Wodyńskiego, Klaklika i Wachta; portret Janiny Gluzińskiej-Makuszyńskiej pędzla Dudy Makuszyński — jak powiada jeden ze znawców jego życia i twórczości — „nie lubił widoku pustych ścian, a zdołał je ze smakiem”.

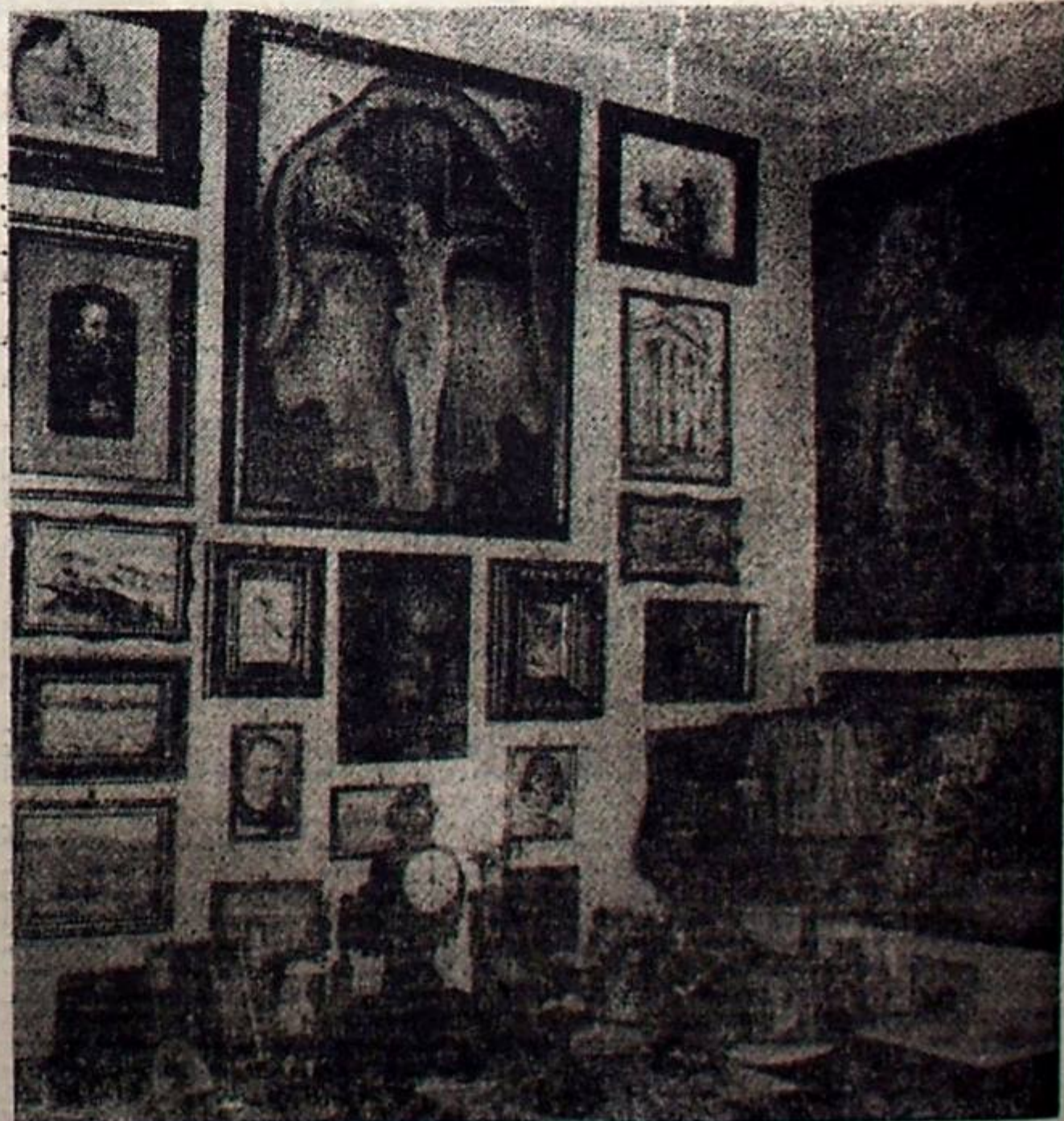
Lecz muzeum, to nie tylko samo zachowane wnętrze mieszkalne. To również zbiór rękopisów Makuszyńskiego, obfity zbiór listów, fotografii, wycinoków z czasopism, afiszów, a także zbiór jego książek, wydanych w Polsce oraz tłumaczonych na języki obce, oraz opracowań historyczno-literackich dotyczących twórczości pisarza. Zbiory dodajmy, stale uzupełniane i wzbogacane przez nowe odkrycia. Jednym z takich właśnie odkryć był odnalezienie przed kilku laty przez kustosa Muzeum Tatrzańskiego, Jerzego Darow-

bardzo niewiele. Tak samo, jak nie zawsze pamięta się o całokształcie pisarskiej działalności i dorobku tego poety, krytyka teatralnego, autora zbiorów opowiadań, felietonów, który i jako literat, i jako dziennikarz był już szeroko i od dawna znany, zanim zyskał sławę jako autor książek dla dzieci i młodzieży. Inna sprawa, że ponad dwadzieścia lat swego życia Makuszyński poświęcił głównie właśnie temu rodzajowi twórczości.

Urodzony 8 stycznia 1884 r. w Stryju, na terenie ówczesnej Galicji, syn pułkownika armii austriackiej Edwarda Makuszyńskiego oraz Julii z Ogonowskich, uczęszczał Kornel Makuszyński do gimnazjum, a następnie na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, a po jego ukoń-

czeniu, w latach 1908—1910 studiował w Paryżu. Mając lat osiemnaście, zadebiutował jako poeta na łamach „Słowa Polskiego”, którego dodatek literacki redagował Jan Kasprowicz. Od tamtego czasu datała się znajomość obu pisarzy, która później miała przebiegać w przyjaźni. W roku 1910 po powrocie z paryskich studiów został Makuszyński recenzentem teatralnym w „Słowie Polskim” i to był początek jego wieloletnich związków z teatrem. Jako krytyka i jako kierownika literackiego w teatrach. W 1915 r. był współorganizatorem i kierownikiem literackim Teatru Miejskiego we Lwowie, później w Kijowie został kierownikiem literackim Teatru Polskiego, prowadzonego przez Stanisławę Wysoczką. Debiutem książkowym Makuszyńskiego był zbiór wierszy „Połów

gwiazd”, wydany w roku 1908. Jego dalsze książki to m.in. „Perły i wieprze” (1915), „Bardzo dziwne bajki” (1916), „Po mlecznej drodze” (1917), „Słońce w herbie” (1918). Po odyskaniu przez Polskę niepodległości zamieszkał Kornel Makuszyński (pod koniec 1918 r.) w Warszawie. Ale kiedy tylko mógł „wykaskiwał” do Zakopanego. Aż w 1935 r. wynajął tam na stałe mieszkanie i od tam na przemiennie to w oficjalnej, to znów w „zimowej” stolicy Polski. Mógł sobie na to pozwolić, bo dziennikarstwo, a następnie także książki przynosiły mu bardzo dobre dochody. Szczególnie, wydawane co roku albo i częściej (od przełomu lat dwudziestych i trzydziestych), książki i książeczki dla dzieci i młodzieży.



Wnętrze Muzeum im. Kornela Makuszyńskiego.

Fot. Andrzej Salwa

Właściwie jako pisarz dla dzieci zadebiutował Makuszyński w roku 1912 bajką „Szwab Kopytko i kaczor Kwak”. Ale prawdziwe zainteresowanie tym rodzajem twórczości zrodziło się w nim dopiero na skutek fali listów, jaką otrzymał po wydaniu w 1925 r. książki „Bezgrzeszne lata”, nawiązującej do wspomnień lat gimnazjalnych autora.

Dzieci od pierwszego wejrzenia zakochały się w Makuszyńskim. „Kochany Panie! — pisała 25 kwietnia 1930 r. trochę jeszcze nieporadnymi literami Buba Rostocka z Częstochowy. — Bardzo ładne bajki Pan wymyśla. A czy tam jest choć trochę prawdy? Czuje Pana za te bajki”.

Wpisany przez całe międzywojenne dwudziestolecie w artystyczny i towarzyski pejzaż Zakopanego, uczestniczący w licznych imprezach sportowych, turniejach brydżowych, przesyłający przez wiele lat (jako prezes honorowy) zakopińskiemu klubowi sportowemu „Wisła”, nie zapomniał także Makuszyński o tutejszych dzieciach. To właśnie on był od 1930 r. głównym organizatorem dziecięcych zawodów narciarskich „O puchar Kornela Makuszyńskiego”, z których dochód przeznaczano na zakup nart dla ubogich dzieci. (Dzisiaj tradycja owej imprezy jest w Zakopanem kontynuowana w postaci Zawodów Narciarskich o Memorial Makuszyńskiego). W 1947 r. klub „Wisła” obdarzył swego honorowego prezesa specjalnym dyplomem w podzięce za jego wieloletnią działalność dla klubu, popularyzację Zakopanego i regionu na łamach prasy.

Podczas okupacji w mieszkaniu Makuszyńskich w Zakopanem przebywał przez pewien czas Adolf Dymusz. Sam gospodarz zjawiał się tutaj dopiero w 1945 r., po przebiegu Powstania Warszawskiego, pobycie w obozie w Pruszkowie, a następnie miesiącach spędzonych w Opatowie. Liczył wówczas Kornel Makuszyński sześćdziesiąt jeden lat; był chory na cukrzycę i miał przed sobą jeszcze osiem lat życia.

W tym ostatnim zakopińskim okresie spotykał się tylko z dziećmi, swoimi wiernymi wielbicielami. Głównie — w Rabce, w tamtejszych sanatoriach gruźliczych i dla chorych na astmę. Jako pisarz milczał.

Kiedy w 1953 r. umarł, pochowano go na starym cmentarzu, gdzie spoczywa tak wielu zasłużonych dla Zakopanego.

Gdy zabrano się do opracowywania spuścizny pisarskiej po Kornelu Makuszyńskim, okazało się, że w posmiertnych papierach znajduje się kilka zaczętych i nigdy nie ukończonych książek, kilka rozpoczętych opowiadań, napisanych w okresie powojennym. Wszystkie utrzymane są w kłopotliwym powrocie autora do „bezgrzesznych lat” dzieciństwa. Wśród owych rękopisów jest jednak jeden, który — choć niezupełnie ukończony — nadawałby się mimo to do wydania; nosi tytuł „Drużba wakacje Szatana” i jest jakby dalszą częścią słynnego „Szatana z siódmej klasy”.

Opowiadał mi o tym kustosz Muzeum im. Makuszyńskiego, Wiesław Andrzej Salwa, zymając się na fakt, że wciąż tak mało wznioł w Makuszyńskiego na półkach księgarskich, przy tak ogromnym czytelnictwie zapotrzebowaniu, i przypomniał, że — co by mówili i pisali krytykanci tej twórczości — fakt ten jest bezspornym, iż nie ma chyba kraju w Europie, w którym nie byłoby tłumaczone książki Kornela Makuszyńskiego. Francuzi dali Makuszyńskiemu Order Legii Honorowej, Włosi obdarzyli go Orderem Korony Włoskiej, Rumuni — Orderem Korony Rumuńskiej... Zresztą co tu mówić tylko o Europie; w takim na przykład Izraelu wydano na początku lat pięćdziesiątych „Szatana z siódmej klasy” w tłumaczeniu na hebrajski.

Rozmawialiśmy także na tematy mniej przyjemne: że tego lata Muzeum w willi „Opolanka” musi być zamknięte, bo tak przecieka dach, że zalewa — przez drugie piętro! — pomieszczenia muzealne. Więc trzeba całkowicie wymienić pokrycie dachu. Lecz dokądkolwiek Muzeum Tatrzańskie zwróciło się z zamówieniem na materiały budowlane, słyszało nieodmiennie: „Kochanie! Ma się rozumieć, oczywiście, ale będziemy to dla was mieli za pół roku”. I może wreszcie tę niezbędną blachę załatwi dyrektor Gustek z Centralnego Ośrodka Sportu w Zakopanem, który jest wielkim przyjacielem Muzeum.

P.S. W ostatnio przysłany do mnie list z Zakopanego kustosz pisał m.in.: „Aktualnie sprawy remontowe idą jednak naprzód. Myślę, że przy następnej bytności w Zakopanem, znajdzie Pan czas na odwiedzenie już odremontowanego Muzeum”.

Fragmenty powieści autobiograficznej Juliana Kawalca

SPOWIEDZ to świetna rzecz, dobrze się żyje tym, którzy chodzą do spowiedzi: nagrzęszy, nabuźnią taki, nakrzywdzą bliźnich, czego nie nawyprowadzą, owaki, a potem opowie to księdzu przy konfesjonale, puknie się w piersi parę razy i uczyni mocne postanowienie poprawy; ksiądz pomodli się szybko za niego, żeby nie tracił czasu, bo inni czekają, i już jest bezgrzeszny, podnosi się z klęczek lekki i jakby posłony, zrobił coś dobrego za pokutę, odmówi dziesięć zdrowasiek albo pogodzi się z sąsiadem lub co innego uczyni i znów jest gotowy do nowego grzeszenia, i grzeszy na całego, bo spowiedź mu to zamazuje; dobrze tym, którzy chodzą do spowiedzi, mogą sobie grzeszyć, ile chcą, przyjemnie im żyć, gdyż biciem się w piersi, bogobojną miną i przymiślnymi słowami bez trudu pozbywają się grzechów...

A tak po prawdzie to grzeszyć trzeba, żeby mieć grzechy, bo jakby to wyglądało, gdyby ktoś powiedział, że nie ma żadnego grzechu, zaraz by go wyśmiano, a może nawet uderzono i powiedziano, że się chwali; ty Jezusku — zawołałoby szyderczo do niego kilku, a może nawet kilkunastu naraz — my ci zaraz pokażemy; i ten, który się przyznał, że nie ma grzechu, mógłby zostać dotkliwie pobity; wraz z uderzeniami, które by na niego spadały, mówiono by do niego natarczywie — no, powiedz, powiedz jeszcze raz, że nie masz grzechu; gdyby nie skłamał i nie powiedział, że przypomniał sobie parę grzechów i uważa się za grzesznika, mogłoby mu tak dołożyć, że nie wiadomo, czyby się z tego wykaraskał...

Niebezpieczna to rzecz nie mieć grzechu, więc trzeba grzeszyć, żeby mieć jakiś grzech na wszelki wypadek, a gdyby się nie udało, to lepiej się do tego nie przyznawać, bo to mogłoby się źle skończyć, przede wszystkim...

NIE daje ci spokoju i wciąż masz w pamięci to czerwcowe popołudnie tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, gdy czoiłgałeś się w zielonym bujnym kartofliśku, ratując życie przed kulami esesmanów, którzy chcieli cię zabić.

Kartofliśko było już po drugim radłowaniu, ziemniaki rosły w długich rzędach, poprzedzielanych dwukrotnie zgłębianymi rowkami; wsunął się w ten rowek i położył na brzuchu, przywarł, docisnął do ziemi; szkoda, że nie możesz się w niej zanurzyć jak w wodzie; od góry przysłania cię rozrośnięta, krzaczasta nadziemniczana...

Przestali strzelać, bo stracili cię z oczu, po chwili gdzieś niedaleko krótką serią z automatu; może ptak, może zając, a może ten zabawny, wirujący w miejscu wiatr poruszył źdźbłami żyta i puścili tam serię, myśląc, że przesmykujesz się zbożem...

Znowu cisza, zacząłeś się czoiłgać, jeśli doczłogasz się do końca zagonu, będziesz miał rygzakowaty row odwadniający; ten porośnięty trawą, glęboki row to ratunek, to najlepsze paśmko ziemi; dwie krótkie serie tak jakby nieco bliżej, nie spiesz się z tym czoiłganiem, bo mogą cię wytropić lornetkami...

Znów leżysz bez ruchu, nawlazilo ci ziemi do ust, gdy się czoiłgałeś, z pewnością wtedy, gdy wsunął się w ziemniaczysko i przywarłeś do ziemi, czym tylko mogłeś, chwyciłeś ją także zębami, wgrzyłeś się w nią w pierwszej chwili, a dopiero potem zacząłeś się czoiłgać; ale jej nie wypływają głono, choć się krztusisz, bo mogą usłyszeć, ani nie wycierają warg dłonią, bo

kim nie znieśliby tego ci, którzy zmagają grzechy i oczyszczają dusze, a poza tym, gdyby tak zaczęło w szybkim tempie przybywać tych bezgrzesznych, ziemia zaczęłaby się równać z niebem i zrobiłoby się strasznie nudno, co by to było za życie, co by to było za niebo bez piekła...

Nim poszedłeś do szkoły, żyłeś sobie jak to dziecię boże, a właściwie jak dziecię dobrej natury, i byłeś czysty, taki mały, rozczochrany anioł, bo

Spowiedź

W przykrótkich portkach-rurkach i w byle czym na grzbiecie; ale gdy skończyłeś sześć lat, a nie skończyłeś jeszcze siedmiu, musiałeś iść do szkoły i musiałeś włożyć nowe, bardziej sztywne i niewygodne ubranie, i zaraz potem powiedziano ci, że jesteś istotą grzeszną i musisz iść do spowiedzi...

Właściwie to wtedy nie miałeś jeszcze żadnego grzechu, ale musiałeś mieć, bo zbliżała się pierwsza spowiedź, szukałeś w sobie tych grzechów i nie mogłeś znaleźć, i byłeś nieszczęśliwy, że ich nie masz, no bo co powieź księdzu, co, gdy przycisniesz twarz do kratki konfesjonalu; ogromnie się wstydzileś, że nie masz grzechu i omal nie płakałeś z tego powodu; ale jednak, gdy trochę pomęczyłeś głowę, znalazłeś; zniszczyłeś przecież kilka gniazd wróbił razem z pisklętami; wprawdzie namówił się do tego dziadek, który nie lubił tych ptaszków, bo wyhuskują z kłosów i zjadają pasloną pszenicę, i wykrzykiwał gniewnie — te lupewoty znów wleciały w pszenicę; ale dobrze, że cię namówił, bo miałeś już gotowy grzech; ale jeden to za mało, przydałoby się jeszcze kilka, przyszło ci na myśl, że

mogą zauważyć poruszenie; najlepiej będzie, gdy ją zjesz, a nie wypłujesz. Ziemię masz tuż pod oczami, większe i mniejsze grudki, nigdy na nią tak z bliska nie patrzyłeś, przy takim patrzaniu ziemia połyskuje, jakby kto po niej rozsiał iskry...

Rozmowa z żukiem

Jedna grudka poruszyła się nieznacznie, tak jakby ją coś podniosło od spodu, po chwili sturlała się po zboczku rowka, a na wierzchu wywiercił się mały robak w lśniącym, fioletowym pancerzu, kręcił się wokół bryłek ziemi, czegoś szukał w pośpiechu, robił nagle, krótkie szusy i wracał do punktu, w którym się pojawił, gdy wyszedł z ziemi, nagle znieruchomiał naprzeciw twojej twarzy, zapatrzył się w ciebie, spotkaliście się — można powiedzieć — twarzą w twarz, widziałeś jego ostre pyszczek i niecierpliwe, badawczo drzące czujki, blask fioletowego pancerza stawał się coraz bardziej intensywny i czynił go jakby malusieńką, fioletową żarówką...

Znowu serią, wciął przeczesują polną; chciałbym być tobą — szepnął do robaka najszybciej jak tylko mogłeś; chciałbyś być mną, co słysze — odpowiedział robak — a tak się pysznisz tym, że chodzisz na dwóch nogach i

wtedy, gdy ojciec chciał cię wysłać po machorkę, uciekłeś na błonie, żeby się tam bawić z chłopakami i straszyć krówy buczeniem naśladowującym głos bąków; jest już drugi grzech, jak to dobrze, będzie z czym iść do spowiedzi; ale dwa grzechy to też za mało, tylko dwa grzechy to śmiech, chłopaki mają ich już znacznie więcej, jeden się chwali, że ma dziesięć grzechów, takiemu to dobrze, a ty co, ty wciąż jesteś gorzys, bo masz tylko dwa grzechy...

— Ale gdy znów pomęczyłeś głowę, przypomniałeś sobie, że podglądałeś ciotkę, gdy się kapała w cebrzyku; podglądanie ciotki, kąpiącej się w cebrzyku, to już było coś, coś z prawdziwego grzechu, to lepsze do spowiedzi, niż zniszczenie gniazda ptaków albo nieposłuchanie ojca; co widziałeś — spytał się ksiądz, gdy mu powiedziałeś o tym podglądaniu...

— Widziałem ciotkę — odpowiedziałeś szepcąc księdzu...

— Ale co widziałeś, mów, co widziałeś — nalegał ksiądz...

— Była naga...

— Naga i co dalej, jakie myśli ci przychodziły?...

— Ze jest zupełnie inna niż w ubraniu, jak nie ciotka...

— Jak nie ciotka, jak co, mów...

— Jak wielka ryba, jak ogromny sum...

Zauważyłeś przez tę kratkę, że ksiądz się nieznacznie uśmiechnął i zaraz zacisnął wargi, tak zacisnął jak człowiek, który się boi, że zaraz wybuchnie ogromnym śmiechem, i jak może, tak zaryglowuje usta, żeby się nie zaśmiać na cały kościół...

Dość długo miał te wargi zacisnięte, a potem szybko i gwałtownie je rozgrzeszenie; gdy na odohodnym celowałaś stule, znów miał te wargi zacisnięte, bo z pewnością chciało mu się śmiać z ciebie czy może z ciotki...

głową trzymasz w górze, i że masz rozum, do czego to doszło, rozniawiamy jak równy z równym, a nawet nie tak, bo role się odwróciły i ty zardroszcz przedstawiłelowi niższej klasy żuków ziemnych, a więc nie rozmawiamy jak równy z równym, bo teraz góruję nad tobą, wyszedłem na spacer w olśniewająco pięknym, fioletowym pancerzu i nie boję się esesmanów; jak mało potrzeba abyś się zrównał ze mną, a nawet znalazł niżę mnie, wystarczy drugi człowiek inaczey ubrany, w sztywnej czapce, z niewielkim czarnym automatem rozlewającym kule, człowiek, który chce cię zabić, wystarczy, abyś spadł niżej żuków ziemnych żywiących się drobną padliną i odchodami; gdybym był tobą, bracie mój — zwracasz się do mnie, nienawidząc swojego ludzkiego kształtu — doszedłbym bezpiecznie do zarosniętego trawą i sitowiem rowu biegnącego tyżakowatą linią; bracie mój — mówisz do gnojarka, gównojada, ziemnioryjca; ja, żuczek ziemny, doczekałem się wreszcie swojej wielkości, a teraz czoiłgaj się za mną, niedany caleczyno, też ide do tego rowu, aby w nim poszukać jakiejś zdechnęj rybki...

Nim prowadzony przez ziemnego żuka doszedłeś na skraj ziemniaczyska, było jeszcze kilka serii z automatu, ostatnia to nawet blisko ciebie, ale wtedy już się wsuwałeś w row i zaraz potem biegłeś chytkiem po jego łamanej linii i oddalałeś się od tropiących cię esesmanów...

(Powieść złożona w LSW)

Chudy literat

HUDY literat budzi się, spogląda na siebie w lustrze, potem przez okno przygląda się ludziom na ulicy. Wtedy rodzą się podobno różne romantyczne i zwariowane pomysły. Korzystając z tego, że przecież mogą być pomysły, rezygnuje ze śniadania i golenia się. W stanie kontrolowanej euforii wychodzi na miasto, które zajęte jest własnymi snami o potędze.

W wydawnictwie nikt się specjalnie nie cieszy, że chudy literat napisał nową książkę. Nawet nie proszą go śladac, bo i po co. Książkę napisać może każdy, ale cała sztuka polega na tym, by ją wydrukować, a ty przecież drukarzem nie jesteś. W zaprzyjaźnionej redakcji znowu zapomnieli puścić twój artykuł. Przyjaciele zapominają, a wrogowie mają lepszą pamięć. Przypominają ci, że twoje wiersze mają polecieć za pół roku, bo taka jest kolejka. Poeci czekają w ogonku, ale czytelnicy nie ustawiają się w kolejce, żeby przeczytać jakiś tam utwór.

Pod wydawnictwem chudy literat spotyka znajomego plastyka. Okazuje się, że facet też napisał wczoraj wiersz. Mało mu malowania? Oto początek i zarazem koniec tego utworu:

Ja kłamię
my, kłamiemy
on, ona, ono cierpi

— Niezle — mówi chudy literat. — Naprawdę. Jeszcze ze sto takich wierszy i będzie tomik.

Na dodatek wieczorem chudy literat ma wieczór autorski. Spodziewasz się dwóch słuchaczy na krzyż, ale tu mila niespodzianka. Jakaś paniąka przyprowadziła swój Klub Złotego Wieku, a druga paniąka, znajoma polonistka, zaangażowała kółko polonistyczne. Mówisz do dzieci i starszków, najechniętę jednak chcąc dotrzeć do wyobraźni paru mężczyzn w sile wieku. Jeden z nich, ponury drab, nagle ożywia się i podchodzi do ciebie po zakończeniu imprezy ostatecznie od-fajkowanej.

— Stary — mówi, — Ile się nie widzieliśmy? Koło dwudziestu lat będzie. Zbieraj się, ale szybko, jedziemy do hotelu robotniczego. Obiecałem kumpłom, że cie przewiozę, o ile to jesteś ty. Ale to ty, nie ma pomyłki.

W hotelu robotniczym teraz twój dawny kumpel ma własny wieczór autorski. Mówi o rozwodzie, o nowej narzeczonej, o stu innych wydarzeniach. Jego kolezdy obserwują cię uważnie i sprawdzają, czy chociaż jesteś człowiekiem na poziomie, czy masz kręgosłup. W końcu rozkręcają się i mówią o swoich sprawach, narzekając jednocześnie, że jakoś literaci o tym nie piszą. Teraz dla odmiany cierpią za grzechy wszystkich literatów. Przecież, do cholery, przynajmniej jeden z nich mógłby coś takiego napisać!

Zegnasz ich z wyrzutami sumienia, że najwspanialsza nawet literatura nie potrafi zatłwić wszystkich ich pokielbaszonych interesów życiowych. Przy okazji żalujesz także siebie, bo już czas do łóżka, a w łóżku człowiek żaluje najbardziej.

A potem rozglądasz się do zaomnianym przedmieściu i dochodzisz do wniosku, że nie tylko poranek jest piękny, ale także wieczór i nawet to przedmieście, i oczywiście dawni znajomi. Dzięki nim i twój charakter w jakiejś mierze krystalizuje się. Ostatecznie chudy literat dochodzi do wniosku, że to nie był jeszcze taki byle jaki dzień.

Janusz Olezak



Od Cassino do Bolonii

— 12 —

Pierwsi w Ankonie!

Feliks Kępa

ROZGLĄDAJĄC się za ulanami karpackimi i ich maszynami, schodziłem na czele plutonu ze wzgórz ku rozciągniętemu nad brzegiem Adriatyku miastu, które od tyłu dni było naszym celem. Droga wiodła serpentynami w dół. Dotarliśmy do szosy. Nie niepokojeń przez nikogo, po minięciu Grazie di Ancona, weszliśmy wreszcie do Ankony ulicą S. Stefano w połowie jej długości. Miasto wydawało się jakby opustoszałe. Potem okazało się, że większość wojsk niemieckich, zorientowawszy się, iż manewr oskrzydlający oddziałów 2 Korpusu od zachodu grozi im okrążeniem i odcięciem dróg odwrotu, wycofała się pośpiesznie z pozycji obronnych w rejonie Ankony i z samego miasta.

Byliśmy w Ankonie — pierwsi!

I wtedy, gdy szliśmy Via S. Stefano ku dworcowi kolejowemu, dołączył do nas nareszcie pluton wozów pancernych Pułku Ulanów Karpackich, a właściwie jeden Staghound i mały scout-car, pod dowództwem ppor. Gleba Krugłowskiego. Zdażyli akurat na bojowy „epizodzik”: w poprzek ulicy S. Stefano przebiegało pędem dwóch jakichś zaplątanych jeszcze tutaj niemieckich saperów. Do tego nieprzyjacielskiego „wojska” otworzyliśmy huraganowy ogień z trzydziestu sztuk broni maszynowej. Najzabawniejsze, że ani jeden z Niemców nie został nawet draśnięty! Na dodatek Staghound ulanów wygarnął ze swego działka ponad naszymi głowami w kierunku stacji kolejowej i dołożył jeszcze z cekaemów. Przerażeni Niemcy wpadli do stojących w pobliżu beczek do ropie szukając w nich schronienia; tylko wystające na zewnątrz nogi trzęsły im się ze strachu. Poszli, oczywiście, do niewoli.

Na końcu ulicy, tuż przy dworcu kolejowym, był na skrzyżowaniu ogromny dół wypełniony prawie do połowy wodą z morza. Zmieszczały się w tym dole spokojnie duża ankońska kamienica. Pozostawiwszy Gleba Krugłowskiego przed przeszkodą nie do przebycia dla jego maszyn, popuściliśmy na własnych niezawodnych nogach wzdłuż brzegu morskiego w kierunku Falkonary na północny skraj Ankony. Była godzina 13.30 na moim zegarku — a może 13.30, jak chcą inni — 18 lipca 1944 roku.

Zajęliśmy stanowiska obronne tuż nad morzem: tor kolejowy, szosa nr 16 i ostatnie zabudowania miasta ze stojącym samotnie na jezdni, uszkodzonym ankońskim tramwajem...

Nie niepokojeń przez nikogo, trwałymi na stanowiskach długie godziny. Chłopcy zdążyli tymczasem zorganizować coś dla „ciała i gardła”. Na wszelki wypadek usunąłem w pewnej chwili z wozu tramwajowego jednego z moich wojaków, który „uwił” tam sobie stanowisko karabinu maszynowego; gdyby nagle pojawiły się niemieckie czołgi lub — co pewniejsze obecnie — nasze własne, taki dobrze wyeksploatowany „strzelający tramwaj” byłby dla nich wspaniałym celem.

I miałem rację. Chyba około godziny 14.00 jedzie mniej więcej z kierunku Falkonary pluton czołgów i zaczyna puć do nas „Shermany”. Ale dla pewności wylazłem na szosę nr 16 i strzelełem kilka białych rakiet, aby nasi nie wzięli nas za Niemców. Tym bardziej, że jeden z moich wesołków urządził sobie właśnie zabawę ze strzelaniem w dalekie morze ze zdobycznego niemieckiego Spandaua, delektując się sztuką grzania z „tedesco pesante fucile mitragliatore” (niemieckiego ciężkiego karabinu maszynowego).

Dowódca plutonu czołgów, przerwawszy ogień, podjechał do mnie swoją maszyną i po krótkiej pogawędce w stylu: „Gońcie Niemców na Falkonare i dalej, Ankona jest wolna” — zawrócił czołgiem na szosie, pozostawiając tylko na asfaltowej nawierzchni dwa głębokie wyłobienia od gasienic, i popuścił w stronę Falkonary. Był to prawdopodobnie pluton czołgów 1 Pułku Ulanów Krechowickich, biorącego udział w głównym natarciu Korpusu, oskrzydlającym miasto od zachodu. Albo też czołgi któregoś innego polskiego pułku pancernego. Nasza rozmowa odbyła się po polsku, na antenie radiowej maszyny powiewał znajomy proporzeczek. Szkoda że nazwiska dowódcy tego plutonu czołgów nie zanotowałem w swoich zapiskach.

Ta obecność polskich czołgów już poza Ankoną, rozluźniła moją „obronę miasta” od strony północnej; możliwość zagrożenia przez nieprzyjaciela stawała się bezprzedmiotowa. Można było sobie teraz pozwolić na zasłużony moment wytchnienia. Tak też się stało.

Jeśli chodzi o zawsze istotną dla żołnierza sprawę „wzmocnienia żołądka” po bitewnych trudach, to z tym nie było najmniejszego kłopotu; wina i „galliny” dla moich wojaków dostarczyli — z własnej inicjatywy — świeżo oswobodzeni, rozradowani Ankonianie. Trudności językowych nie mieliśmy zupełnie; natomiast była radość, uścisłki, a po winie — popularne włoskie piosenki. W takim nastroju bawiliśmy się prawie do zmroku.

Jeszcze przed zapadnięciem zmroku jakimś okrytymi drogami dotarł do nas motocyklista z Pułku Ulanów Karpackich z zaproszeniem dla mnie od dowódcy Pułku do gmachu Municipio (magistratu Ankony) na uroczystość zorganizowaną z okazji oswobodzenia miasta. Oczywiście zaproszenie było już mocno spóźnione. To spotkanie w Municipio szczegółowo zostało opisane w książce „Ułani Karpaccy” (Londyn 1966). Łącznie z relacją o nadaniu przez magistrat miasta Ankony nowej nazwy dotychczasowej Via S. Stefano, przemianowanej na cześć Pułku na „Via del Regimento Polacco degli Lancieri Carpathi”.

Trzeba było pomyśleć o kwaterach dla mojego wojska. Zajęliśmy je w wyżej położonych domach Borghetto, i tam dołączyły do nas 1 i 3 pluton. Okazało się dopiero teraz, że stoczyły one chlubną walkę z zasadzką na wzgórzach za cmentarzem Tavernelle.

Wróćmy więc jeszcze na chwilę do czasu „zaginięcia” reszty 2 Kompanii „Commando” pod Tavernelle, do działania 1 plutonu ppor. Zontka i 3 plutonu wachm. Gruszczyńskiego po tym, jak rozstaliśmy się z nimi w czasie podejścia pod cmentarz, o czym pisalem poprzednio.

Otóż przez wspomniane „nieporozumienie stogowe” ppor. Zontek, biorąc sobie za cel orientacyjny inny stóg stomy niż ten, o który mnie chodziło podczas omawiania zadania bojowego, wyprowadził obydwie plutony aż na sam szczyt wzgórz za cmentarzem Tavernelle, który mieliśmy zdobywać, dośrodkowych (ku wschodowi) od cmentarza. Tam zaobserwowali Niemców w sile kompanii, wycofujących się z północnych stoków innego rozległego pasma wzgórz na północ od miejscowości Varano. Z doliny Valle di Montacuta, przez G. Nisi i C. Rosuari, niemiecka kompania była prosto na nasze dwa plutony. Okazała sama pehata się w ręce! Ppor. Zontek zorganizował zasadzkę i po zaciekłej walce z całkowitą zniszczeniem rozbił w puch niemiecki oddział. Wziął do niewoli dowódcę, kompanijną kancelarię, kilkudziesięciu żołnierzy; na polu walki zostało kilku zabitych Niemców. Nasi nie ponieśli najmniejszych strat. Nie-

którym odwołajca żołnierzom udało się podować walki zniknąć w okolicznych zaroślach. Czy uciekając w pojedynkę, udało im dotrzeć do swoich, trudno powiedzieć. W każdym razie kompania Hauptmanna Wiedemana, naszego „starego znajomego” z Monte Freddo, przestała ostatecznie istnieć. Jeńców przelazł ppor. Zontek — wraz ze spisem imiennym sporządzonym przez kpt. Wiedemana — uśpokajano później karpackim ulanom.

O tym fragmencie walki o Ankonę i jej wyniku (47 jeńców, kilku zabitych) książka „Ułani Karpaccy” milczy, jakby coś takiego w ogóle się nie wydarzyło. Czyn ppor. Zontka, którego wyłączną zasługą było urządzenie zasadki na Niemców, kwalifikował się do wysokiego odznaczenia bojowego „Virtuti Militari”. Wydarzenie to nie tyle zostało pominięte, co celowo przemilczane.

To zresztą nie pierwszy i nie ostatni przykład nieścisłości na kartach „Ulanów Karpackich”, jeśli chodzi o wkroczenie do Ankony. Znajdują się tam także na przykład curiosa jak stwierdzenie zawarte na str. 208: „O godz. 13.00 szpica 1 szwadronu (ppor. Gleb Krugłowski) z częścią kompanii włoskiej (111 Komp. O. M.) osiągnęła Grazie di Ancona. Ustal wszelki opór n-pla. Artyleria jego zamilkła. O godz. 14.00 ostatnia faza bitwy o Ankonę na odcinku Pułku dobiegła końca. Czołowe elementy Pułku osiągnęły przedmieście Ankony. O godz. 14.10 likwiduje kompania włoska, wraz ze szpicą 1 szwadronu, oddział należący do 676 baonu Obrony Krajowej i bierze dalszych 29 jeńców”. Meldunek dowódcy Pułku Ulanów Karpackich do dowódcy 2 Korpusu Polskiego, generała Andersa, zaczyna się tymi słowami: „Melduję, że w dniu 18 lipca 1944 r. o godz. 14.30 po przełamaniu obrony n-pla w m. Tavernelle, wzięciu 55 jeńców, wkroczyła moja szpica pod d-twem ppor. Krugłowskiego do m. Ankona”.

Co do 29 jeńców — to wymysł autora. Ani ja, ani ppor. Krugłowski tych jeńców nigdy nie widzieliśmy, bo też ich wcale nie było. Pytam się: jak mogła szpica ppor. Krugłowskiego pierwsza wkroczyć do Ankony, skoro w rzeczywistości dołączyła ona do mojej kompanii (dokładnie do 2 plutonu i 5-osobowego poczty pod moim dowództwem) na końcu Via S. Stefano przed dworcem kolejowym w Ankonie, który leży tuż nad morzem? Jeśli szpica, to powinna znajdować się w przedzie, przed nami, a nie z tyłu — jak to miało w istocie miejsce...

Ale wróćmy do naszych kwater w Borghetto, do radosnego, wspólnie święconego wieczoru 18 lipca 1944 r., wieczoru zwycięstwa, gdy Ankona znajdowała się w polskich rękach. Cieszyliśmy się, że znowu jesteśmy całą kompanią razem. Opowiadaniem o wyczynach grupy ppor. Zontka, zachwytem nie było końca. Jeszcze jeden wspaniały sukces, i to bez strat własnych!

Nie obeszło się przy tej okazji bez „zniszczenia” znacznej liczby butelek „vino bianco e rosso”, a nawet czegoś mocniejszego, dla upamiętnienia czynu bojowego 1 i 3 plutonu. Zaś stała grupka „bel conto” umiała nam ów krótki pobyt w Borghetto swoim piosenkami przy akompaniamentie zdobycznej harmonii z Castelfidardo.

21 lipca z fasonem i śpiewem, jak to się normalnie przyjęło w naszej 2 Kompanii „Commando”, wjechaliśmy wozami transportowymi do Numany na zasłużony odpoczynek. Do tej Numany, która jeszcze kilka dni temu była w niemieckich rękach; przez całe dziesięć dni tylko przez lornetki mogliśmy z Monte Freddo bardziej szczegółowo penetrować ulice i zabudowania tego miasteczka.

Zastaliśmy już tutaj rozlokowaną 1 Samodzielną Kompanię Commando. Tak więc całość zgrupowania Commando — „Bławyły” znalazła się razem, w odwodzie 2 Korpusu. Miało tak być do 29 lipca 1944 r., kiedy to nasze drogi z komandosami majora Smokowskiego rozeszły się na stałe.

Otwierał się tym samym kolejny rozdział historii naszej kompanii. Najpierw przez szereg miesięcy mieliśmy walczyć u boku Pułku Ulanów Karpackich, a następnie w składzie podporządkowanej dowództwu 2 Korpusu Polskiego, włoskiej partyzanckiej Brygady Malella — aż po zdobycie Bolonii 21 lipca 1945 r.

Do druku przygotował:
Miroslaw Derecki

Na tym kończymy druk fragmentu wspomnień Feliksa Kępy. O dalszych działaniach 2 Kompanii „Commando” będą mogli czytelnicy dowiedzieć się z przygotowywanej przez Feliksa Kępe i Miroslawa Dereckiego książki — „Od Cassino do Bolonii”.
Red.

Inny świat

Irena Filus



Mragowo 1986. Część zespołu Flaphouse String Band
Fot. Bernard Ziółkowski

PODOBNO co roku przed imprezą zwaną Country Piknik stawia się wielki znak zapytania. Powody są różne. Przede wszystkim coraz trudniej o gwiazdy. Brenda Lee czy Johnny Cash żądają kilkudziesięciu tysięcy dolarów za koncert. A ta kwota to całe fundusze, jakimi dysponują organizatorzy. Drugą sprawą jest baza. Jak wiadomo, Mragowo o tej porze roku oblegane jest przez turystów. Nie można ich na kilka dni wysiedlić z czterogwiazdkowego hotelu i kazać im mieszkać w namiotach. W tamtym roku dowożono wykonawców polskich i obserwatorów z Olsztyna. Jednak i to rozwiązanie nie okazało się najlepsze, bowiem cały urok festiwalu to atmosfera, która rodzi się wraz z porankiem w hotelowych barkach, na basenie, w amfiteatrze położonym nieopodal, tuż nad samym jeziorem Czors. I wreszcie istnieje problem samej muzyki. Country załatuje coś za bardzo z amerykańską, ale spróbujmy w Mragowie ogłosić festiwal muzyki ludowej. Zamiast Jana Pietrzaka z żoną i dziećmi, a właściwie „ich nieliczną trzypięciopięciową delegacją”, zjechaliby wtedy na Mazury chłopcy z Krzczonowa. I też by im się podobało.

Country po polsku

Niewtajemniczeni twierdzą, że kowboje panoszą się w naszym kraju, chcą zakładać farmy jeździć na koniach i śpiewać amerykańskie piosenki. Nie pamiętają już o tak bardzo popularnych w latach sześćdziesiątych grupach: No to co, Niebiesko-Czarnych, Skaldach, lansujących nurt tzw. folk-music, silnie zrytmizowanej, opartej na polskim folklorze. Łza się w oku kręci na wspomnienie musicali pisanych przez Katarzynę Gaertner. Większość piosenek z „Na szkle malowane” nagrala na płyty czołówka naszych wokalistów estradowych: Niemen („Lipowa łyżka”, „Pożegnanie harnasia”), Maryla Rodowicz („Kolibaj się kolibaj”, „Jak harnaś umierał”), Halina Frąckowiak („Na sianie”) Zespół 2+1 („Nie zmogła go kula”). Było to wyjątkowo udane widowisko, oscylujące muzycznie między folklorem góralskim a... rytmem and bluesem. W latach osiemdziesiątych podobny sukces osiągnął „Śpiewnik śląski” pt. „Poziłaczany warkocz”, tej samej kompozytorki. Niestety ani jeden, ani drugi musical nie został nigdy w całości wydany na płytach czy kasetach. Szkoda, bo zapotrzebowanie na tego rodzaju swojską muzykę jest ogromne. I jest zupełnie lekceważone.

Wystarczy z perspektywy popatrzyć na mragowską imprezę. Cztery lata temu na pierwszym pikniku wiele było muzyki amerykańskiego Południa. Teraz równym powodzeniem cieszy się zespół Syrbacy, który przy akompaniamencie liry korbowej śpiewa „Miała baba jedną krowę”, czy też parodiuje muzyczną modę, każąc powtarzać rozbawionej publiczności:

Lirnik man, lirnik man, hardy gardy man

Lirnik man, lirnik man, lirnik. Yes I am.

Co więcej, Mragowo przyciąga gwiazdy polskiej piosenki, tak dalece znudzone Opolem, że już nawet wolą przygotować repertuar specjalny, byle

tylko stanąć na deskach tutejszej sceny. Miały one swój koncert nazwany „Country i okolice”. Do przyjętej kowencji dostrzeliły się nawet Krystyna Prońko i Maria Jeżowska, wygwizdane ponownie w tamtym roku. Prońko udowodniła, że jej wspaniałe głos przydaje się każdej muzyce, a Jeżowska przestała wreszcie podrygiwać. Poza tym wyglądało na to, że Wojciech Korda „nawąchał się nawozu mułów” i zdał egzamin u Hanka Williamsa. Najbardziej zdecydowanie wypadła Maryla Rodowicz, co było dla wszystkich olbrzymim zaskoczeniem, jako że jest to indywidualność prezentująca od samego początku swej kariery prawdziwie polski styl. Nie miał jej kto podpowiedzieć, że należało raczej wybrać któryśkolwiek ze znanych standardów własnych, by kupić publiczność. Uczynił to natomiast Tadeusz Woźniak, odświeżając dawne przeboje: „Lubię zapach pomarańczy” i „Zegarmistrz światła”. I tak wzruszył publiczność, że aż się sam poplakał ze wzruszenia. A najbardziej uniwersalny i nie do podrobienia okazał się Ireneusz Dudek. Wszyscy najpierw myśleli że będzie śpiewać „Ziute” (w końcu to nasz rodzimy folklor), później wręcz „Ziute”, się domagali a on niewzruszony prezentował (i to jak!) standardy muzyki country i bluesy. Na dodatek tańczył, grał na skrzypcach, dyrygował, udowadniając, że kilku facetów może być lepszych od całego big bandu, dajmy na to, Pieregórki.

O zagranicznych

W Mragowie miało miejsce tylko jedno nieporozumienie artystyczne. Pagart zaprosił z Węgier Zsuzsę Konec, ale nie przyjechała. W ostatniej chwili zaproponowano zastępstwo, czyli zespół Senator. Mieli podobno grać country-rockowo, tymczasem zagłuszyli nas dźwiękami ostrego rocka. Reszta była jak najbardziej udana. Miał piknik prawdziwą gwiazdę, z prawdziwego Południa, bo ze stanu Tennessee. Nie udało się jej ściągnąć w tamtym roku, ze względów finansowych, później nieco obniżyła stawkę i nie żalowała. Annie McGowan „Rattlesnake” śpiewała niegdyś z Wille Neilsonem i pisała piosenki później zaczęła je nagrywać i zdobywać coraz większą popularność. Na estradzie towarzyszy jej tylko gitara i grzechotnik, a właściciel jego ogon, zdobyty przez synów. Stąd pseudonim Rattlesnake. Publiczność tak polubiła Annie, że zwała ją po prostu Grzechotnikową — po polsku.

Najbardziej jednak podobał się zespół z RFN — Flaphouse String Band, typowy przykład działającego reklamowej. Przede wszystkim do Mragowa przyjechali wesołym, kolorowym mikrobusem z wypisaną wyraźnie nazwą zespołu sugerującą na dodatek, że jest to band w podróży. Tym samym poruszają się bowiem po swoim kraju, w weekendy, by uprawiać bezpretensjonalną muzykę i dawać ludziom trochę radości. Na co dzień wykonują zwykle zawody, jak spawacz, programista, kierownik produkcji. Może dlatego są tacy bezpośredni, jak cała muzyka country. Nie muszą udawać artystów, bo nimi są. Popularność ich rosła w

miarę upływających dni. Po pierwsze dlatego, że można było przy nich po prostu usiąść i porozmawiać o muzyce, po drugie — jak nikt inny potrafili rozbawić publiczność, no i wreszcie na lewo i prawo rozdawali najnowszą kasotę i płytę reklamową ze standardami country. Był z nimi poza tym właściciel wytwórni Emmerland, u którego nagrywają, i penetrował tzw. rynek, mając do dyspozycji swoje studio-mobil na kółkach. No, ale nie dla nas te zachwyty, bo i tak nie posiadamy tyle benzyny, żeby zapewnić wyjazd dwóm samochodom, jednemu z zespołem, drugiemu z managerem na festiwal, dajmy na to, do RFN.

Głodny i spragniony ciebie

Najbardziej głodny i najbardziej spragniony był oczywiście Lonstar, czyli Michał Luszczyński, co wynikało z piosenki. Z wykształcenia architekt, z zamiłowania piosenkarz, tak określił, czym dla niego jest muzyka country: „Wartością stała w czasach, gdy wiele innych wartości się dewaluje: formą porozumienia i zwierzania się z trosk, kompleksów i pasji; jest sposobem bycia wolnym od agresji i komplikacji, jest formą miłości (jeśli to słowo jeszcze coś znaczy); jest muzyką-źródłem, muzyką-korzeniem”.

To cała tajemnica popularności country. Jej najmocniejszą stroną są teksty piosenek, mówiące o zwykłych sprawach, podparte łatwą, wpadającą w ucho melodią. Może dlatego jeszcze długo śpiewać się będzie amerykańskie standardy. Ale obok także piosenki polskie, które okazują się równie ważne i potrzebne ludziom. Proszę sobie wyobrazić Tadeusza Gluchowskiego — Dinozaura, byłego perkusistę Niebiesko-Czarnych — śpiewającego „Złote kalendarze” w stylu country. I okazuje się, że Piotr Szczepanik w latach sześćdziesiątych wyłansował jednak niezły przeboj.

Ale dość już o wykonawcach, z których wymieniam mniej więcej połowę. Przecież w Mragowie najważniejsza była publiczność. Gdyby nie ona, nie byłoby pikniku. Mimo że i tutaj dogoniła ludzi galopująca inflacja, solidarnie płacili za zbyt drogie bilety, opechali się zbyt drogimi kiełbaskami na gorąco i pili zbyt drogą coca-cola. Poza tym panował ład i porządek. Nikt nie rzucił butelkami, nie używał brzydkich słów i nie pchał się przy wyjściu. Nigdzie i nigdy nie widziałam naraz tyle radości życia. A w amfiteatrze oraz dookoła, za siatką i na wodzie, było kilka tysięcy osób. Wszyscy wiedzieli, po co przyjechali.

Muzyka country rzeczywiście jakby łagodzi obyczaje. Przydałoby się, by wreszcie to zrozumieć decydenci od rozrywki, a także niektórzy z radia i telewizji. Może by wtedy przed piątym piknikiem nie trzeba było znów stawiać znaku zapytania: Proponuję takie rozwiązanie. Wysłać ich wszystkich za karę do Opola, by się trochę ponudzili, później do Jarocina, żeby sobie popatrzyli na koguty i łysinę na głowach, pospali na trawie, zostali doku-mentalnie zbombardowani decybelami, a potem dopiero pokazać lany świat.

Hiszpański

rozdział

w życiu

Hemingwaya

WSTYCZNIU 1937 roku Hemingway podjął się funkcji przewodniczącego Komitetu Ambulansów w Lidze Amerykańskich Przyjaciół Demokracji Hiszpańskiej. W lutym tegoż roku wyjechał do Hiszpanii jako korespondent wojenny agencji „North American Newspaper Alliance”. W ciągu kilku następujących miesięcy współpracował z reżyserem holenderskim Jorisem Ivenssem przy realizacji filmu dokumentalnego zatytułowanego „Ziemia hiszpańska”, do którego napisał komentarz. Film ten demonstrował m. in. w Białym Domu prezydentowi Rooseveltowi i jego małżonce Eleonorze. Zaangażowanie Hemingwaya w sprawę pomocy dla Republiki przyniosło owoce: z darów, które posypały się z różnych źródeł, zakupiono 25 ambulansów. Choć bardzo nie lubił publicznych wystąpień, wzięł udział w II Zjeździe Pisarzy Amerykańskich. Przemawiając wówczas, stwierdził: — faszyzm jest kłamstwem wypowiedzianym przez tyranów. Pisarz, który nie chce kłamać, nie może żyć i pracować w faszyzmie...

Do ogarniętej ogniem wojny domowej Hiszpanii Hemingway przyjechał kilkakrotnie. Trwały ślad w jego pamięci pozostawił Karol Swierczewski, walczący pod pseudonimem generała

Waltera. Wywarł on na Hemingwayu wielkie wrażenie, dzięki swej wiedzy wojskowej, sile woli, a także powierchowości. Sportretował go później w powieści „Komu bije dzwon” pod postacią gen. Gołza. Jakże było prawdziwe nazwisko generała, dowiedział się dopiero po latach. Niejednokrotnie przewodnikiem po złożonych sprawach hiszpańskich był dla Hemingwaya Michał Kolecow, korespondent „Prawdy” i „Izwestii”.

Pisarz bywał często na froncie, obserwując przebieg wydarzeń wojennych: pod Guadalałajarą i Saragossą, pod Brunete, w świeżo zdobytym Teruelu i nad Ebro, gdzie armia republikańska podjęła ostatnie wysiłki w celu odwrócenia karty wojny.

Swą bazą miał w estrzelianym i bombardowanym przez faszystów Madrycie, a pod koniec wojny przeniósł się do Barcelony.

Po zdławieniu republiki, Hemingway rozpoczął w 1939 roku pracę nad książką „Komu bije dzwon”, której bohaterem jest Robert Jordan, amerykański ochotnik brygad międzynarodowych, współdziałający z hiszpańskimi guerrilleros. Pewne szczegóły biografii Jordana autor zaczerpnął z własnego życia i członków najbliższej swojej rodziny. Dowódcą republikański Gusta-

vo Duran pojawia się pod własnym nazwiskiem, a rozkaz wysadzenia mostu wydaje Jordanowi gen. Gołz — Swierczewski. Sobowtórem Michaiła Kolecowa jest korespondent radziecki Karkow.

Powieść okazała się wydarzeniem sezonu, a jej pierwszy nakład wyniósł 100 tys. egzemplarzy. Recenzje były liczne, przeważały pochlebne lub pełne zachwyty. Atakowany był natomiast Hemingway ze strony lewicy amerykańskiej, m.in. przez Mike'a Golda w „The Daily Worker”, który określił pisarza jako człowieka „ograniczonego, ciasnego, okaleczonego przez egoizm klasowy”. Łagodniej oceniał książkę Alvah Besse w „New Masses”, choć i on uznał, że brakuje jej głębszego zrozumienia sprawy i szerszego na nią spojrzenia. W odpowiedzi udzielił Goldowi, Hemingway pisał, że wysoka ocena, jaką wystawili książce Bezi wojownicy Republiki Hiszpańskiej, jest bardziej kompetentna i autorzytatywna, niż przemądrzale opinie Golda.

(rz)

W PUŁAWSKIM WIEŻOWCU: MORD I SAMOBÓJSTWO

Wiesława Lidkiewicz

ONA żyła szaro i zwyczajnie. Każdego dnia, od kilkunastu już lat, sprzątała zafajdane klatki schodowe w blokach. Chyba niewiele z tego miała. Dodatkowo brała fartuchy do prania w „Słonecznej”. Mówią, że była pracowita. W domu, może jak to zwyczajnie kobieta, sprzątała, gotowała, podglądała kwiaty w oknie z widokiem na przychodnię zdrowia. Inni mówią, że podobno lubiła sobie wypić. Ale ludzie różnie gadają...

On kiedyś był kierowcą. Ostatnio nie pracował. Podobno pił, choć powiadają niektórzy, że tak właściwie to nikt go po pijaku nie widywał. Zresztą w ostatnim czasie raczej nie przebywał w mieszkaniu przy ulicy Polnej. Podobno mieszkał gdzieś na wsi u swojej matki. Ludzie z sąsiedztwa, z szaroniebieskiego wieżowca, tak przynajmniej twierdzą.

To małżeństwo — jak dowiaduję się od szefa RUSW w Puławach — było dobrze znane milicji. Ona wielokrotnie zgłaszała fakty moralnego i fizycznego znęcania się męża nad nią. Milicja prowadziła postępowanie. Poza tym sprawa rozwodowa była w sądzie. Mieli lat niewiele ponad czterdzieści każde. Jedyna córka założyła już własną rodzinę, ma czteroletnią córeczkę, jej mąż pracuje w „Izabelli”, jest „bramkarzem” w czasie dancingów. Zachodzę do „Izabelli”. Pana Darka jeszcze nie ma tego dnia w pracy. Kelnierka, która podaje mi „Pepsi”, powiada:

— Tak, mam Darka, miły chłopak. Nie ma go jeszcze dzisiaj, wczoraj był ten pogrzeb... A o tamtym zdarzeniu?.. No, wie pani, różnie to ludzie mówią, ja tam nie wiem.

Szatniarka i babcia klozetowa w jednej osobie, schylona pod ladą z papierosami, wyjada z garnka kapuste. Płacę 10 złotych za toaletę, ale ona nadal niechętna rozmowie.

— Aż, pani, ja nie wiem. Przecież nie widziałam. Każdy mówi coś innego, że ją zaszytył nożem albo że znowu sama się rzuciła przez okno. Podobno w gazecie o tym pisali, ale ja tam nie widziałam. A mówili, że chyba ta druga sąsiadka, znaczy, zmarła wczoraj w szpitalu, ale nie wiem... — I ponownie zanurza łyżkę w garnku z bigosem.

Grażyna K., która otrzymała pięć głębokich uderzeń nożem, odwiedzałam w puławskim szpitalu na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej i Chirurgii. Zachodzę najpierw do gabinetu lekarskiego, by zapytać o „poszkodowa-

na” i możliwość rozmowy z nią. I od razu nieporozumienie. Pan asystent długo objaśnia, że ordynator jest na urlopie, lekarz dyżurny gdzieś tam, a jeszcze inny lekarz, który miał tu być... Wreszcie z niemalym zdziwieniem zrozumiał, że chodzi mi o rozmowę nie z lekarzem (!), a „tylko” z chorą.

Pani Grażyna ma lat trzydzieści i zmęczoną twarz. Chodzi po korytarzu z mężem, czuje się już lepiej. Chętnie godzi się na rozmowę, choć czuje, że jest jakby trochę nieufna. W końcu mówi nieśmiało:

— Nie chcę, żeby przekreślano fakty. We wczorajszym „Sztandarze” napisali, że „dwie osoby poniosły śmierć, wyskakując z wieżowca”. To nie tak. Pani Teresa sama przecież nie wyskoczyła. Wypadła, kiedy pchnął ją nożem.

Grażyna K. była właściwie koleżanką córki nieżyjącej Teresy J.

— Znalam tę rodzinę gdzieś od pięciu lat, chociaż tego męża widziałam wtedy drugi raz w życiu. Nie mieszkał od dłuższego czasu na Polnej, ale wiem, że był tam zameldowany. Przyjechał, żeby ją zabić. Dlatego że chciała wziąć z nim rozwód. Plotki krążą — powiada pani Grażyna — że tego dnia było u nich picie, ale ja tam nie wierzę. Pani Teresa wcale nie piła. Pracowita była bardzo, brała zawsze jakieś dodatkowe roboty, zarabiała dużo, składała na książeczkę.

Tamtego dnia w słoneczne przedpołudnie Teresa J. przyszyła do mieszkania pani Grażyny przy ul. Rewolucji Październikowej. Prosiła o pomoc w ukryciu lepszych rzeczy, lisów, jakichś kosztowności, bała się, że mąż, który właśnie przyjechał, może jej to wszystko zabrać. Po południu pani Grażyna udala się do mieszkania Teresy J. Mówi, że chciała spotkać się z jej córką, której jednak tam nie zastała. Rozmawiała kilka minut, mąż Teresy J. był w tym czasie w drugim pokoju.

— Nawet nie zdążyliśmy jeszcze wypić herbaty — powiada pani Grażyna — kiedy ten morderca wszedł do pokoju z nożem. Nie, nie był wcale pijany. Po prostu powiedział do swojej żony: „Ja ciebie teraz zabiję. Nie wezmę rozwodu. Byłem w kościele i przyśiągłem sobie, że ciebie zabiję, a sam rzucę się z okna i muszę to zrobić”. Teresa J. zaczęła wolać: „Nie zabijaj mnie, to już lepiej razem rzucimy się z okna”. Weszła najpierw na wersalkę, a potem na parapet okienny. Usiłowała ją ściągnąć, ale ona ponownie przykucała na parapecie i wolała, że

wyskoczy. Tak naprawdę, to chciała go tylko chyba nastraszyć, ale on dopadł ją na tym parapecie i pchnął nożem. A potem z tym nożem do mnie i woła: „Teraz ciebie zabiję”. „Jezu, niech mnie pan nie zabija, ja mam troje dzieci” — krzyczałam. I dalej nie wiem już, co było. Kiedy odzyskałam przytomność, leżałam koło szafy, bałam się ruszyć, myślałam, że ten morderca jeszcze jest w mieszkaniu. Po tem zaczęłam szukać torebki, znalazłam w kuchni. Wybiegłam na schody, ciągle myślałam, że on jeszcze żyje. Gdybym nie upadła, pewnie by mnie zabił.

Zanim przyjechało pogotowie, pod blokiem zgromadził się już podobno szermujący tłumek. Patrzyli w okno na ślonym piętrem, pytali siebie nawzajem: „dlaczego?” „jak to się stało?” a ktoś chyba powiedział: „jakie życie taka śmierć”. A Teresa J. leżała na trawniku, jeszcze żyła. Ciało Henryka J., roztrzaskane, przywarło do daszku osłaniającego wejście do klatki schodowej.

Cztery dni po tym zdarzeniu spotykam stojącą pod tym daszkiem, umalowaną mocno, ucackaną dziewczynę. Mieszka właśnie w tej klatce.

— Ja tam nie wiem, mnie to nie interesuje — powiada.

— Jak to, nie interesuje panią, to przecież jednak tragiczna ludzka śmierć.

— Ano, nie... a w ogóle to ja nie jestem pani. Mam 15 lat.

— Ach tak, a co robisz, czym się zajmujesz?

— Idę teraz do Liceum... im. Edukacji — dodaje i umalowana buzia rozjaśnia się dumnym uśmiechem.

Potem pukam do cudzych drzwi. Trafiam fatalnie. Oburzona pańcia kłapięła drzwiami.

— Co, będą tu człowieka nachodzić bez ustanku, spokoju nie dają, do gazety! Nawet śmierci nie uszanują, banda!

Znowu więc szukam rozmówców na ulicy. Przy rondzie koło „Izabelli” zagadnęłam panią z siatką. Idziemy razem aż do „Orbisu”, rozmawia życzliwie. Choć dziwi się trochę, że mnie to tak interesuje.

— Teraz w końcu dużo takich zdarzeń, coraz więcej. O, znalazłam panią Teresę. Wczoraj był pogrzeb. Tylko jej. Jego ciało zabrała rodzina, gdzieś tam za Puławami. Kilkanaście lat pracowała u nas w Spółdzielni Mieszkaniowej. Dobra była kobieta. Córce miała

już dorosłą, ale to była tylko jej córka, może to o nią poszło. Chcieli się rozwodzić. On to podobno pijaczyna był, ale ja go nie znałam.

W miętym koło „Orbisu”, jak to zwykle w miętym, kolejka spora, ludzie gadają, plotkują, kłóca się, pomrukują, żeby czas szybciej upłynął. Staję i ja, choć kartkę na mięso już dawno zużyłam. Przede mną starszy pan. Jak potem powiada — jest z Kazimierza, Zagaduję o tym i owym, w końcu on sam mnie pyta:

— A słyszała pani o tym na Polnej?

— No, tak, słyszałam.

— Widzi pani, co to się dzieje teraz na tym świecie. Ludziom już chyba nie chce się żyć. Mordują się, zabijają siekierami.

Pułkownik Natas w RUSW pokazywał mi duży kucienny nóż, z mocno zagiętym ostrzem, ze śladami krwi, który znalazł na miejscu zdarzenia. Ale starszy pan z kolejki upiera się, że jednak „mordowali się siekierami”. Kobiety stojące w ogonku przed nami zganili staruszką:

— Nie plec pan, kiedy nie wiesz dokładnie, jak było. A jak pan wiesz, to idź zeznaj na milicję.

Plotka sługębna po wielokroć obiegła miasto. Ludzie mówią rozmaite sprzeczne rzeczy. Jakże dalekie od tego, co zechciał opowiedzieć jedyny świadek zdarzenia, Grażyna K. W jej spojrzeniach i uśmiechu dostrzegam radość. Radość życia, które udało się ocalić. Może tak naprawdę wartość życia zaczyna się dopiero rozumieć w takich tragicznych sytuacjach.

Kiedy wychodzę ze szpitala na rozkopaną ulicę, nie bardzo umiem trafić stąd do centrum miasta. Pytam o drogę sympatyczną, zda się, młodą jeszcze kobietę. Idziemy razem „na skróty”, pośród krzaków i hałazy.

— Widzi pani, jak to jest, piją, a potem się mordują. Zresztą ja tam nie wiem, tak u nas w pracy mówili.

Pracuję w delikatesach, na górze, gdzie słodczy i wódka. Mówi, że w Puławach zaopatrzenie jeszcze nie najgorsze, choć kawy to teraz prawie wcale nie rzucają. Rozstajemy się przy delikatesach. — Cóż, nie pani nie mogę konkretnego powiedzieć w tej sprawie. Ludzie teraz wcale nie panują nad sobą. Mordują, gwałcą, maltretują... bo ja wiem... tak to już jest... a życie idzie dalej.

Mijam delikatesy i znowu jestem na Polnej. Jeszcze jedna przygodna rozmowa. Chłopak ma lat niewiele chyba ponad dwadzieścia, studiuje w Lublinie, mieszka na stałe w Puławach, właśnie w sąsiednim szarym bloku. Tamtego zdarzenia nie widział, nie może mi powiedzieć. Zamysła się na chwilę i w końcu słyszę:

— Wie pani, myślę, że różne są śmierci, jak różne są wartości ludzkiego życia. Ale dlaczego ludzie zabijają, mordują, popełniają samobójstwa? Czasem nad tym się zastanawiam. Może dlatego, że — jak mówi moja matka — za dobrze mają, a może po prostu z tej szarości życia.

Listy do „Kamena”

A CO Z MIESZKANIAM?

Szanowna Redakcja, chciałabym za Waszym pośrednictwem dowiedzieć, co się dzieje z mieszkańcami tych, którzy opuścili ostatnio Polskę i dawno minął czas ważności ich paszportów? [...] Kiedyś, bodaj dwa lata temu, telewizja pokazywała, że na Śląsku władze administracyjne mocno się za to wzięły. Z pewnością ten problem, choć zapewne w mniejszej skali, występuje również w Lublinie, ale na ten temat panuje milczenie, choć sytuacja mieszkaniowa jest bardzo trudna [...].

A.Z.

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

Co się dzieje? Nie wiemy, ale pytanie kierujemy pod adresem Urzędu Miejskiego w Lublinie. A może zajęłaby się tą sprawą Inspekcja Robotniczo-Chłopska? (Red.)

KTO ZAPOMNIAŁ?

Panie Redaktorze, obok wieżowca przy ulicy Szerzuteckiego 6 leży kilkumetrowy słup metalowy, pomalowany na żółto. Próbowaliśmy go podnieść, ale bestia sporo waży. Skąd ten słup? Włosna „ogocano” wieżowca i najwidoczniej przygotowana za dużo tych słupów. Ten, o którym mowa, leży w trawie. Nieco mniejszy słup zauważyłem w blokiem przy ulicy Pana Wołodjowskiego 1. Też leży w trawie. Czy stać nas na takie marnotrawstwo? Sygnalizuję kierownictwu LSM, aby nie dano się okantować!

Jan Kaleta
Lublin

TO PRZESADA!

Wczytałem w „Kurierze Lubelskim”, i to na pierwszej stronie, że prezydent Lublina przyjął wicemistrza Polonii paną Urszulę, wraz z rodzicami i wręczył jej medal i dyplom. Ciekawe, czy prezydent przyjął również przedstawicieli świata nauki i kultury naszego miasta, którzy mają osiągnięcia na skalę ogólnopolską?

Wybory miss piękności należą traktować z przymrużeniem oka. A swoją drogą nie jestem zbyt konserwatywny.

kamena

10

na, ale dziwię się, że dyrekcje szkół pozwalają swoim uczniom na branie udziału w tego typu konkursach. Niedługo młodej panie może się przekroczyć w głowie od sukcesów, co może się odbić na jej całym życiu. Przeczytałam gdzieś ostatnio, że miss Węgier popełniła samobójstwo, a dziewczyna miała zaledwie 17 lat! Tragedia, ale czy w tej tragedii nie mają swego udziału i dorosli? Jeszcze trochę, a dziewczętom będziemy wręczać regionalne odznaki „zasłużonych dla miasta czy regionu”!

Janina S.

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

GROŻONO MI MILICJĄ!

Panie Redaktorze! Z Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Lublinie otrzymałam upomnienie (nr 16331) łamane przez 35 T). Każą mi zapłacić 400 zł za skorzystanie z karetki pogotowia. O co tu chodzi? Miałam wypadek (skręcenie nogi z symptomami złamania) i znajomi zawieźli mnie do pogotowia przy ul. Sławońskiego. Pogotowie odesłało mnie do szpitala przy ul. Jacewskiego (już karetka). W szpitalu lekarz prześwietlił mi nogę, usztynił i kazał czekać na karetkę. Chciałam szybko wrócić do domu taksówką, prosiłam pania z dyżurki, aby mi taksówkę sprowadził (postać jest bardzo blisko szpitala), ale panie piły kawę i nie reagowały. Ponieważ nalegałam, usłyszałam: „Proszę spokojnie czekać. Karetka jest na trasie. Jeżeli pani nie przestanie dokuczać (!), to wezwijemy milicję. Całowiek chory, a tak się wścieka”.

Czekałam więc cierpliwie do północy, zanim karetka zawiozła mnie do domu. Teraz otrzymałam rachunek: transport — 300 zł, upomnienie — 100 zł. Taksówką byłoby i szybciej i taniej.

Rozumiem, że służba zdrowia też wysił o finansach i skłonna jest dla świętego spokoju te 400 zł zapłacić. Zależy jednak, że panie pijące kawę (zazdrościłam!) nie zdziwończyły po milicję. Panowie w mundurach byłiby z pewnością uprzejmiejsi i wzięli by mnie do domu!

Panie Redaktorze, czytam dziś (25 sierpnia) w „Kw-

hardziej krytycznie!

Maria M.

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

HANDEL KSIĄZKAMI

Towarzyszu Redaktorze, często jako emeryt odwiedzałam targ przy Lubartowskiej i zatrzymuję się przy stoisku z książkami. Handlują nimi młodzi ludzie. Czy oni gdzieś pracują? Czy im wolno wyceniać książki po znacznym wyszarych cenach niż w antykwariacie? Co z tego handlu ma miasto, wręcz skarbowy? Pogonić to bractwo do re-

boty! Mamu płasze ukazy, ale często ich po prostu się nie realizuje.

Józef Karpiński
Lublin

O KIOSKACH „RUCHU”

Ciekawa jestem, Panie Redaktorze, ile kiosków „Ruchu” stoi w Lublinie pustych? W lecie sytuacja była wprost tragiczna. Problem to nie tylko lubelski, bo w Warszawie też wędrowałam od kiosku do kiosku, chcąc kupić zapaliki. Przeszłam ponad kilometr, nim znalazłam czynny kiosk! Nie wiem, ale to jest istna kwadratura koła! Nie ma ludzi, czy też otrzymują oni za mnie pieniądze? A może sprzedawca gazety i papierosy w sklepie, wydzielając społecznie stoiska? Ekspedientki dorobią? Wiek będzie syty i owca cała. A może niech sprzedają gazet i czasopism zajmą się starsi harcerze? Przecież jakiś procent ze sprzedaży należanych dziś pism otrzymują? Te pieniądze można by przeznaczyć na akcję letnią. Nie wiem sama, ale problem kiosków trzeba w jakiś sposób rozwiązać.

Halina Zabiłocka
Lublin

SPORT TO ZDROWIE

Panie Redaktorze, czytam dziś (25 sierpnia) w „Kurierku”, że w drużynie Motoru Mirosław Jaworski (kuzyn Naczelnego „Kamena”) godnie potrafi zastąpić Iwanickiego i kto wie, czy nie będzie bardziej przydatny zespołowi. Należy wierzyć, tak pisze „Kurierek”, że wszelkie formalności z przejęciem Jaworskiego do Motoru będą już rychło załatwione. No, zgoda, ale nie wie lewica, co czyni prawica, bo teraz obok innej dzielnicy stwierdza, że tenże Jaworski doznał poważnej kontuzji (uraz mięśnia dwugłowego), a Motor na transakcji z Widzewem zrobił interes jak Zabiłocki na mydle.

Więc ja się pytam, jaka jest prawda? Interesuje mnie to, bo zał mi odejścia Iwanickiego, a teraz tylko czekam, kiedy Motor zainkasuje ów punkt minusowy, przegrany mając z kimś (raczej na wyjeździe) trzema golami. Ciekawość mnie również czy Iwanicki miał mieszkanie, a jeśli miał, to czy owo mieszkanie przysiadło teraz Jaworskiemu? A może Jaworski dostanie mieszkanie ekstra? U nas o sportowców dba się więcej niż o ludzi zasłużonych dla kultury, nauki czy gospodarki...

Jan B.

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)
Wiemy tylko, że Mirosław Jaworski nie jest kuzynem waszego wujka (Red.).

List z Krakowa

Wyzwolenie z ponuractwa

Henryk Więclawski

KIEDY pociąg się zatrzymał, nie bardzo uwierzyłem zapowiedzi z głosi- nika że to już koniec naszej podróży. Nie dostrzegłem bowiem ani peronów, ani dumnego napisu na stacyjnym budynku. Stailiśmy na ocznicy, wśród płatany torów. Nie takie dojazdy do Krakowa pamiętałem. Rychło okazało się, że w samym środku letniej wędrówki ludów nasza turystyczna Mekka zaplanowała sobie przebudowę dworca. „Plany zapierają dech w piersiach, a póki co w sali restauracyjnej fruują gołębie” — pisał reporter „Kurieru Polskiego”. No cóż, gołębie to ponoć krakowska specjalność. Co gorsza, że wszędzie naprawdę brudno i niechlujnie. Przy kasach kilometrowe kolejki w szalatach cuchnie, a budki z zapiekankami, frytkami, kurczakami z rożną, ciastkami, choć liczne, rażą brakiem estetyki i prowizorką. Przywitał mnie więc chaos, bałagan i upał (ale także wspaniałe portretowe plakaty o wystawie malarstwa Kossaków). Mimo owych wstępnych niedogodności szybko musiałem się jednak pozbyć nadziei na łatwy kasek dziennikarski o totalnym nieprzygotowaniu miasta do wakacyjnego sezonu. Rzeczywistość okazała się bowiem o wiele jaśniejsza, niż ją sobie via dworzec wyobraziłem. (Choć to pierwsze wrażenie jest także obiektywnym faktem).

Ludzie tu, o dziwo, jacyś inni: jakby bardziej odprężeni i wyzwoleni z ponuractwa. Mimo etykietki miasta emerytów i domatorów Kraków żyje do późna w noc. A może to tylko dzięki turystycznemu przemieszaniu populacji? (Obiegowa wizja typowego Krakusa jest przecież powszechnie znana). Dzienna tramwajowa rzeczywistość potwierdza jednak tezę pierwszą. Brak letniemu miastu na pewno studenckiej bracl, a każdy weekend skutecznie wyczyszcza ulice ze stałych mieszkańców. Nic dziwnego, skoro w którą stronę by się człowiek ruszył, czeka go coś ciekawego. Tu Wieliczka, tam Ojców, tu Zakopane. Mimo to wrażenie ruchu i „dziania się” pozostaje. Nawet posępny smog, wiszący bezustannie nad dachami, wrażenia tego nie może przytłumić.

„Dzianie się” i ruch to nie tylko domena imprez i kulturalnych atrakcji; to przede wszystkim ludzka zapobiegliwość. W Krakowie spotkałem się zaś ponownie z prawdą, iż w ogólnym kryzysowym rozlaniu są jeszcze ludzie pełni energii, koncepcji i szerokości zamierzeń. I to najbardziej poprawiło mi samopoczucie.

Czekając na wypełnienie innej redakcyjnej powinności, umyśliłem sobie odwiedzić znajomych z Lublina, których pociechy przebywały na językowym obozie na Śnieżnicy (70 km od Krakowa). Aby tam trafić, wypadało wszakże najpierw odwiedzić organizatora, tj. krakowski Oddział Krajowej Spółdzielni Pracy „Oświata”. Siedziba „Oświaty” przy Mazowieckiej przypomina zagraniczne ekspozytury biur podróży. Cała oszklona, z reklamami na szybach (kursy językowe także i jeszcze inne), wewnątrz wypełniona stukotem maszyn do pisania, brzęczeniem telefonów, gwarem rozmów i uśmiechem urzędników. Na biurkach kolorowe foldery i także biurowe przybory. Dyrektor Oddziału Władysław Ubowski (z pochodzenia zresztą lublinianin) zadziwił mnie syntezą menadżerskich zalet. Długą chwilę przyglądałem się jego „rządzieniu”. Obejmując przed półtora rokiem tę funkcję, został Oddział praktycznie w rozpsypanie. Walżyły się plany finansowe, przygasła aktywność organizacyjna, firma zaczęła się cofać. Czy to nie pewna mikroskala? Wraz z jego przybyciem odeszła połowa dawnego personelu, w tym osoby ponoć nie do ruszenia. Pozostała połowa obserwowała go uważnie i nieufnie. Trudno nie zauważyć jednak pasji i fachowości. Na dziś obroty zostały podwojone (dochodzą do 30 milionów złotych rocznie), rozmach przywrócony, a zawsze podejrzliwa Warszawa zaczęła mi cytować jakieś setne i dziesiąte procenty wykonania założeń.

Kiedy mówimy o sukcesie, dyrektor się uśmiecha. „To nie sukces — mówi. — To tylko zwykła praca, fachowość ludzi i dobre chęci”.

Jednym z autentycznych pozytywów letniej akcji „Oświata” był, o dziwo, jedyny zresztą w kraju, obóz z językiem rosyjskim. (Ponoć nasza młodzież odczuwa szkolny przesyt w obcowaniu z tym przedmiotem). Na jeziorze Rożnów wioślowali i pogłębiali lingwistyczne umiejętności młodzi ludzie z krakowskich szkół. Wicekonsul ZSRR w Krakowie wysoko ocenił poziom zajęć i ich praktyczną użyteczność.

My tymczasem stoimy nad pierścieniem ognia na szczycie Śnieżnicy i słuchamy piosenki psa Huckleberry. Połowa uczestników obozu angielskiego to młodzież z Lublina. (Lokalne namiętności wypłyną w chwilę potem). Aby do obozu dotrzeć, musieliśmy wdrapać się na 500-metrowe, strome wznesienie. (Tylko wojskowy gazik mógłby pod nie podjechać). Zostaliśmy powitani, jak należało oczekiwać — czterech facetów z dyplomatkami, na górskiej wspinaczce. Dwutygodniowy turnus na tym obozie kosztuje 22 tysiące złotych, ale w zamian otrzymuje się równowartość tej opłaty; zajęcia są intensywne i ciekawe, z naciskiem na te elementy językowej edukacji, które trudno przećwiczyć w szkole. Jest także szeroki zestaw podręczników, nagrań magnetofonowych i płytowych, obcojęzycznej prasy. Jest jednak przede wszystkim zadowolenie uczestników. A dyrektor opowiada mi o kursach metodą video, o których nie marzy tylko które po prostu organizuje. W trakcie przymiarek rozmaitych sponsorów do akcji letniej słyszałem, że pożyteczny wypoczynek to sprawa trudna i kłopotliwa.

Pewna firma, bodaj sportowa, zlikwidowała ostatnio premie za ambicję, posługując się argumentem że za „normalność” się nie dopłaca. Oby stało się to regułą naszego życia instytucjonalnego. Póki co, konkursy na dyrektorów trwają i stąd mój przeskok z Krakowa do podkrakowskiego schroniska.

A Kraków żyje do późna w noc. Bywają zapewne i takie ulice, gdzie około 22-giej przetoczy się jedynie podechmielony Zdzicho okolice Rynku tętnia jednak długo kawiarnianym gwarem. Otwarte są nie tylko lokale ze strip-teasem, do których samo wejście pochłania miesięczną pensję, ani „Wierzyński” z portierem w liberii; najczęściej są to drobne knajpki, przekąskowe bary (w tym węgierska restauracyjka „Balaton” z cygańską muzyką i wspaniałym plackiem ziemniaczanym z przyłowściami), kawiarenki i bistra. Wszystkie to oświetlone nie po lubelsku jasnym, antymgielnym światłem, pełne obcojęzycznego gwaru i, co naprawdę zdumiewające, śmiechu.

Ludzie jakby tu bardziej odprężeni i wyzwoleni z ponuractwa.

Ekran i widz

Wehikul czasu

- model 1985

KTO z nas przynajmniej raz w życiu nie marzył by przemieścić się na chwilę w przeszłość lub w przyszłość, kto nie czytał lub przynajmniej nie słyszał o powieści Herberta Georgea Wella „Wehikul czasu”? Wydana w 1895 r. książka młodego angielskiego dziennikarza, absolwenta wydziału biologii Royal College of Science w Londynie (później jednego z najsłynniejszych brytyjskich pisarzy), spotkała się z ogromnym powodzeniem i przez z górą pół wieku była światowym bestsellerem. I nawet jeszcze dzisiaj, choć już znacznie przyblakła, ta opowieść o przygodach pewnego młodego Anglika, który przy pomocy niezwyklej maszyny — „wehikulu czasu” przenosi się w rok 802 701, potrafi przykuć uwagę czytelnika. „Wehikul czasu” był doskonałym tworem dla kina; ostatnią atrakcyjną adaptację filmową książki Wella dokonaną przez amerykańskiego reżysera George’a Paia, oglądaliśmy przed kilkunastu laty.

Idący właśnie na naszych ekranach amerykański film „Powrót do przyszłości” Roberta Zemeckisa nawiązuje w wyraźny sposób do starej, tak dobrze znanej, wellsowskiej opowieści. Ale Zemeckis potrafił umiejętnie i pomysłowo przekształcić tamten klasyczny temat w historię bardzo współczesną, doskonale trafiającą w mentalność, gust i poczucie humoru dzisiejszej, tak zwanej szerokiej widowni. Zrobił komedię w stylu science-fiction, w której realność idealnie przenika się z fantazją i gdzie obecna rzeczywistość nie tylko jest konsekwencją przeszłości, ale chwilami potrafi także na tę przeszłość — w sposób niezwykle dowcipny i pomysłowy rzutować.

Bohater „Wehikulu czasu” Wella przemieszczał się w odległą przyszłość, Robert Zemeckis wyprawia swojego bohatera w niezbyt odległą przeszłość (z której będzie się on zresztą wszelkimi sposobami starał wyrwać do przyszłości, czyli czasu, kiedy naprawdę żyje). Lecz zarówno w jednym, jak i drugim przypadku światy, w które trafiają bohater książki i bohater filmu, jawią się im jako zupełnie obecne i prawie niezrozumiałe. I także oni sami są dziwni i obcy ludziom z epoki, w jaką nagle, przypadkiem zabrnęli.

Kapitałność pomysłu Roberta Zemeckisa — który jest także współautorem scenariusza — polega przede wszystkim na tym, iż potrafił on dostrzec i wyeksponować w swym filmie fakt, iż w dzisiejszym świecie wystarczyzaledwie trzech dziesiętlatków lat, okresu, w którym niedłysieli nastolatkiowie doszli dopiero do wieku dojrzałego, aby epoka ich młodości stała się rzeczywistością zupełnie zamierzchłą, tracącą prehistorią, niepojętą dla ich własnych dzieci...

Rok 1895 oraz 1955, do którego trafia bohater „Powrotu do przyszłości”, to dwa zupełnie już odmiennie światy w obrębie tego samego — zdawałoby się — prowincjonalnego amerykańskiego miasteczka. Na początku 1955 r. nie tańczono jeszcze powszechnie rock-and-rolla, który jest dla dzisiejszej młodzieży tańcem już „historycznym”, nikt nie słyszał o Johnie Kennedy, zaś nazwisko Ronald Reagana pojawiało się w Stanach Zjednoczonych jedynie na afiszach filmowych wraz z nazwiskiem Barbary Stanwyck... Nie mówiąc już o strojach ówczesnej młodzieży, innym jej sposobie życia i zachowania, innych samochodach telewizorach itp. itd. Paradoksem w 1955 r. po ulicach swego rodzinnego miasta, bohater „Powrotu do przyszłości” kilkunastoletni Marty (bardzo dobry w tej roli Michael J.

Fox), ubrany w modny w 1985 r., czarny, pikowany „ociepiacz” budy, owszeczne zdumienie i wesołość „Diaczego włożyłeś tutaj, na łądze karnielkę ratunkową?” — pytają go.

Lecz Marty ma dużo większe problemy niż odpowiadanie na idiotyczne pytania. Przeniósł się przy pomocy supernowoczesnego „wehikulu czasu” w świat młodości: własnych rodziców, z przerażeniem stwierdza, że jego przyszła matka obecnie jeszcze becalistka Jennifer wyraźnie na niego... „leci” nie przebiegając w środkach i zupełnie ignorując załoty przyszłego ojca Marty’ego, zresztą wyjątkowego



safanduly i szkolnego „lesera”, George’a McFly. Tak obrót sprawy zagraża w sposób ewidentny przyszłym narodziom Marty’ego, a tym samym jego powrotowi do przyszłości czyli czasów obecnych. I — do jego aktualnej dziewczyny. Dlatego Marty robi wszystko, aby pchnąć swą przyszłą matkę w ramiona swego przyszłego ojca. A że dokonuje przy tym bezwiednie pewnych korekt — jeśli chodzi o okoliczności w jakich skojarzyła się ta para — po powrocie do roku 1985 odkrywa, że obecnie jego matka i ojciec są bardzo fajnymi rodzicami, których nie musi się już — jak przed wyprawą w przeszłość — wstydzić. I Marty powinien już tylko, wraz ze swoją dziewczyną, co do której ma całkiem niedwuznaczne zamiary, wyskoczyć na chwilkę w przyszłość aby skorygować... Ale nie odkrywamy wszystkich kart przed tymi, którzy jeszcze nie widzieli filmu.

Rzecz zdumiewająca: Robert Zemeckis, dokonując nadzwyczaj dowolnego przekładu starego „Wehikulu czasu” dla potrzeb swojej komedii filmowej, kręczonej z myślą o kilkunastoletniej, współczesnej publiczności, zdołał przecieć w jakiś bardzo swobodny sposób zachować w „Powrocie do przyszłości” zasadniczą ideę fantastyczno-naukowych utworów Wella, w których ważniejsze od samego wynalazku są jego szeroko rozumiane konsekwencje.

No i pamiętajmy także, że Zemeckis, biorąc jako datę wyjściową dla „Powrotu do przyszłości” rok 1985 (sam film kręcony był w 1984 r.), nawiązuje tym niedwuznacznie do okrągłej rocznicy — dziesięćdziesiątlatka ukazania się po raz pierwszy na półkach księgarskich „Wehikulu czasu”.

M.D.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopicowski (zastępca redaktora naczelnego), Kyzymuni Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Maria Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasicki (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wójcik (redaktor techniczny) — Ewa Dybak, korektor — Barbara Caban. Redakcja nie odpowiada za treść materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14-18. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Umiecka 1. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza NSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Zwana 1, tel. 235-95. Adres redakcji: 20-030 Lublin, ul. Skłodowska 21. Telefon: sekretariat, redaktor naczelny, zastępca redaktora naczelnego 235-91, sekretarz redakcji 235-92, dział publicystyki i literacki 235-93. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-030 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zwyczajna dziewczyna

Ewa Chodkowska

STACYJKA malenka. Zatrzymują się tu tylko osobowe. Trochę krzaków, kawaleczech laki, budyneczek szary, odrapany — jak mawiają tutaj — pamięta jeszcze czasy przemarszu Komendanta. Przed wejściem dwie ławeczki mocno wykoślawione. W letni czas także klomb z nagietkami i młode brzoźki oceniające okienka. Takie miejsce zapadłe, jak z rosyjskich nowel albo opowiadań Iwaszkiewicza. Tyłko, że ten, zda się, zapomniany przez Boga zakątek otwiera ku światu radośnie, optymistyczne hasło, rozjaśniające szarość budyneczku — „Stacja N. miastem przyszłości”. I „świat” przybywa tutaj raz na dobę w brezentowym worku, który około północy wyrzucają na peron z pocztowego wagonu osobowego z Warszawy.

Ku „światu” zmierza także co dzień, już od lat bez mała trzydziestu, stary Antoni Wlazło. Zjawia się na stacyjce przed świtem i zanim przejedzie tędy express Moskwa — Paryż, wędruje wzdłuż torów i rytmicznym, wprawnym ruchem obstukuje szyny. Zawraca i znowu po drugiej stronie: puk, puk, dzień, dzień. Doziera do stacyjki, codziennie czyta te same „urzędowe” — jak powiada — ogłoszenia: „Wypas krów na terenie stacji i w obrębie zabroniony pod karą”. I zaraz obok: „Ogłasza się zapisy do chóru przy Klubie Kolejarza”. Od roku to samo ogłoszenie.

— Kamu tam dzisiaj chce się śpiewać w chórze? A tego Klubu Kolejarza to chyba tak naprawdę nie ma — stwierdza bez zdziwienia pan Antoni.

Niekiedy na ścianie stacyjki poprawia jakąś spadającą kartkę, gdzie koślawymi literami ktoś narzytmolil „Sprzedam cielną jałówkę”.

Zanim zjawia się tu pierwszą podróżni, musi jeszcze machnąć miotłą po schodach stacyjki. I w końcu stuka w okienko kasy, żeby zbudzić Helenkę. A Helenka niemrawo wychyla rozczochraną głowę i buzię, pomyślała od drzemia na stole, i pyta jak zwykle:

— Panie Antoni, Paryż jechał już?

A potem przesuwa tęskne spojrzenie po „spainych wagonach” pędzącego ekspresu. I wzdycha czasem ciężko:

— Ech, panie Antoni, co ja tu robię?!

Ale nie ma czasu na marzenia. Na stację wpełzają pierwsi zasnęli podróżni. Trzeba sprzedawać bilety, zapowiedzieć elektryczny na 5.40 i poczekać aż o 6.00 przyjdzie zmienniczka.

Pan Antoni lubił Helenkę jak nikogo na tej stacji. Wydawało mu się, że jest podobna do jego córki.

— Bo Basia moja — żali się — będzie już ze trzy lata, jak wyjechała gdzieś w Szczecińskie i nie pokazuje się od tamtego czasu w domu. Dwa razy tylko kartkę przysłała z życzeniami na święta i napisała, żeby się o nią nie martwić, że wszystko dobrze, ale do N. nigdy nie wróci. Dlaczego, dlaczego? — pyta beznadziejnie pan Antoni. — Żeby choć wiedzieć, co ona naprawdę robi, żeby się choć jakoś w życiu urządziła... A Helenkę, Helenkę znam już prawie trzy lata. Czasem kupię jej coś u nas w spółdzielni, jak rzucają jakiś towar i kolejka jest duża. A ona zawsze pogada, nieraz to nawet kawą mnie poczęstowała.

Na początku kiedy Helenka zaczynała w tej kasie, to strasznie bała się nocy. Najgorzej było przed pierwszą, zanim odjechała „Warszawa”. Schodzili się czasem na stację różni tacy, nie wiadomo skąd i po co. Kiedyś jeden dobrze nawet ubrany przystojny, może trochę po czterdziestce, wpada do poczekalni i prosto do Helenki:

— Anioł, anioł na dworcu! Co pani tu robi taka ładna? Co pani tu robi na tej stacji „Chandra Ulyńska”.

Szalony — pomyślała Helenka.

— Jaka chandra? Nie widzi pan, tam pisze, jak się stacja nazywa.

A on na to:

— To z literatury, nie zna pani, to nie. — I dalej: — Taka dziewczyna. Czemu pani tu siedzi. Niech pani przyjeżdża do Warszawy.

— Po co? — zdziwiła się Helenka.

A on znowu gadał tak dziwnie:

— Widzi pani, od razu zobaczyłem w pani coś bliskiego. Bo to tak jest, ludzie o podobnych życiorysach, albo podobnych wyobraźniach, zawsze lgną do siebie. Pijący szukają innych pijących, palący przedziałów dla palących, a marni poeci najbardziej cenią towarzystwo wielbicielek-analfabetek.

Cóż za dziwak — zastanawiała się Helenka. Ale pociąg nadjechał, on poleciał i zostawił tylko drukowaną karteczkę z adresem, a pod nazwiskiem przeczytała: „literat” i zadziwiła się mocno.

A potem aż do rana dręczył ją jakiś dziwny niepokój i zdręmnąć się nie mogła nawet. O świcie przybiegła z całą tą historią, zadyszana, do starego Wlazły.

— Panie Antoni, co robić, może by tak naprawdę jechał do Warszawy? Może on by mi tam jaką lepszą posadę wyszukał, w końcu taki na stanowisku, bo ja wiem? Trzeba może choć zadzwonić do niego.

— Ech — pokiwał smętnie głową Wlazło — nie daj się zwodzić Helenka. Życie nie jest takie łatwe i proste.

Od tamtej pory Helenka nie bała się już nocy na stacyjce.

— Cóż to — mówiła — maie tam ganc pomada, w nocy czy w dzień dyżurować.

Jednak wolała chyba to sennie siedzenie w nocy, jakby na coś czekała, jakby za czymś tęskniła. Ale nie się nie zdarzało, tylko nad ranem drżała z zimna i niewyspania i uśmiechała się tajemniczo kiedy nadjeżdżał „Moskwa — Paryż”.

Na początku lata, w jakiś czerwcowy dzień, słońce szybko wysuwało się spoza ściany lasu.

Pan Antoni kuszył wzdłuż torów i rytmiczne dzień, dzień strząsało z szyn kropelki rosy. Najpierw jak zwykle kierunek — Paryż, a potem zawrócił w stronę Moskwy. Minął już łączkę pachnącą skoszoną trawą. Kiedy dotarł do miejsca gdzie zaczynał się peron stacyjki, zobaczył porzucone przy torach damskie majtki. Nie zdziwił się wcale. Machnął tylko ręką i zamyslił się. Znał życie. Kiedyś, zanim zdarzył mu się wypadek z nogą, jeździł przecie na lokomotywach. Bywał tu i ówdzie, widział też niejedno. Z zamyslenia wyrwało go drżenie szyn. — Ekspres — pomyślał — trzeba zbudzić Helenkę. Szybko udał się do budynku zastukał do kasy, potem obszedł pustą stacyjkę. Tego dnia nikt nie zapowiedział osobowego o 5.40.

Pan Antoni wie, że kierownik stacji wysłał polecenie do Helenki, żeby się natychmiast zgłosiła, ale czy dotarli do Wólki Chabowskiej, nie wiadomo... Minęły chyba trzy tygodnie i do kasy przyjechali „na razie”, Gucową, która mieszkała blisko stacji. Pan Antoni dziwi się, że ona przyszła tu pracować, zarabiała przecież cztery stowy na flasce. Niekiedy mówią, że teraz to w kasie też shandluje co nieco. Przyniesie co dzień parę butelek i nawet tu nietrudno jej sprzedać, do sklepu będzie stąd ze trzy kilometry.

W jakiś zamglony jesienny świt Gucowa pyrgnęła przez kasowe okienko niebieską zmiętą kopertę.

— To chyba do was, Wlazło — powiada.

Stempel pocztowy rozmazany. W środku na maleńkiej karteczce tylko jedno zdanie: „Panie Antoni, życie, k... mać jest podle miał pan rację. Helena”.

— Życie jest podle, dzień, dzień, jest podle. Pomruk pana Antoniego mieszał się z drżeniem szyn. Przez poranną mgłę przedzierał się stukot pociągu. Nadjeżdżał „Moskwa — Paryż”.

dorastania dzieci, stwierdzając, że ojciec wówczas dowiaduje się, iż syn dorasta, jeśli ten — zamiast chodzić z dziewczętami na spacer — zaczyna się z nimi zamykać w pokoju.

Joseph Addison, poeta i dramaturg angielski, tak się kiedyś wypowiedział o wypożyczonych i nigdy nie oddawanych książkach:

— Nie ma się czemu dziwić, że książki tak rzadko wracają do nas z powrotem. Łatwiej bowiem jest zatrzymać jakąś książkę, niż to, co się w tej książce znajduje.

Francuskiego pisarza, Anatola France nagabywała swego czasu starsza dama, wydujca obrzydliwe sumy na podtrzymanie urzędu.

— Na ile lat może pan ocenić — zagadnęła.

— Sądząc po ząbkach — na osiemnaście, po płowych włosach — na dziewiętnaście, po flourze — na szesnaście — odpowiedział France.

— Ale tak naprawdę — indagowała dama.

— Przecież powiedziałem — osiemnaście, dodał dziewiętnaście i dodał szesnaście — jest pięćdziesiąt trzy — odparł pisarz.

	1	2	3	4	5	6	7	
	16	17	18	19	20	21	22	23
32	33	34		35	36	37	38	39
47	48	49	50	51	52	53	54	
64		65	66	67	68	69	70	
79	80	81		82	83	84	85	86
95	96		97	98	99	100	101	102
111	112	113	114	115		116	117	118
126	127	128	129		130		131	132
140	141	142		143	144	145		146
155	156	157	158	159		160	161	162
171	172	173		174	175	176		177
	186	187	188	189	190	191	192	193

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie. Pierwsze litery 21 początkowych wyrazów utworzą imię i nazwisko pisarza oraz tytuł jego powieści, z której pochodzi cytowany fragment. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

Wyrazy pomocnicze

1. przywódca bandy — 54, 79, 29, 55, 91, 190.
 2. tytuł ambasadora — 8, 33, 44, 63, 84, 23, 109, 152, 69, 138, 11.
 3. do ciasta i kąpieli niemowląt — 77, 2, 46, 21, 61, 15.
 4. dawne pokwitowanie — 9, 193, 175, 159, 19, 163, 74.
 5. dynastia angielska w XV wieku — 13, 198, 58, 122.
 6. jeden z nauczycieli Kai Danczowskiej — 16, 142, 114, 53, 36.
 7. otwory w ścianie — 3, 140, 51, 62, 88, 145, 128.
 8. zawartość — 10, 181, 139, 149, 173.
 9. zajmuje się dziejami — 64, 192, 59, 45, 178, 123, 31, 5.
 10. niespodziewane odwiedziny — 86, 34, 104, 170, 155, 195, 132.
 11. wyższy duchowny obrządku wschodniego — 6, 168, 129, 70, 103, 65, 154, 133.
 12. rąptus, nerwus — 18, 184, 180, 106, 157, 83, 146.
 13. strona świata — 25, 121, 93, 161, 75, 67.
 14. projektodawca — 26, 199, 186, 162, 143, 117, 60, 73, 47.
 15. krzew z pachnącymi kwiatami — 89, 105, 118, 97, 24, 191.
 16. barwny luk — 188, 43, 160, 194, 164.
 17. dzielnica Warszawy — 17, 100, 94, 189, 147, 37.
 18. dawne ciepłe okrycie — 90, 116, 66, 182, 20.
 19. postawa odrzucająca wszystkie normy — 107, 153, 176, 78, 197, 108, 134, 40.
 20. przewoźnik cudzych rzeczy — 27, 150, 187, 126, 196, 32, 113, 4, 57, 99.
 21. drobny proszek — 35, 50, 1, 112, 167, 41.
 22. zimnawe okresy — 43, 101, 72, 81, 96, 183.
 23. miasto pasiąstych spódnic — 38, 119, 76, 174, 82, 49.
 24. zakaźna choroba koni — 22, 95, 14, 124, 68.
 25. wielkie meteory — 7, 148, 179, 172, 120, 137.
 26. święte księgi chrześcijaństwa i mozajmu — 12, 127, 28, 171, 158, 39.
 27. siedzą obok klarnetów — 151, 136, 166, 131, 200.
 28. obraca głową — 42, 56, 52, 110, 130.
 29. rozum — 144, 85, 185, 111, 165.
 30. pęta — 71, 87, 135, 30, 92.
 31. brat Czecha i Rusa — 141, 169, 80, 115.
 32. zestawienie spis — 102, 125, 177, 98, 156.
- Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 16 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Nie każda głowa pasuje do kufajki. Są głowy jakby stworzone do kufajki i kufajka dla tych głów jest nawet ładnym strojem, bo one ładnie z niej wystają, i są głowy do których kufajka nie pasuje tylko co delikatniejszego.

JULIAN KAWALEC

„PRZEPLYNIJ SZYFROGRAM”

Nagrodę wylosował Stanisław Gołociński, ul. Trzebińska 24, 20-139 Lublin.

Archiwum mistrzów anegdoty

W pierwszych latach powojennych Leon Schiller wystawił w Krakowie sztukę Stefana Otobnowskiego pt. „Wielkanoc”. W jednej ze scen powinien być dolecieć z kulis ogłoszą strzałów. W tym celu odkomenderowano specjalnego żołnierza z miejscowego garnizonu z pepeszką. Sztuka szła przy kompletach publiczności, ale pewnego wieczoru, kiedy na widowni znajdowali się ważni goście ze stolicy, w kulminacyjnej scenie dramatu zabrakło wystrzałów.

Zdenerwowany reżyser sztuki i wbiegł z kulis i pyta moczującego się z pepeszką żołnierza:

— Dlaczego nie strzelacie?
— Zaciął mi się automat.
— Co to znaczy „zaciął mi się automat”?
— zawołał ze złością Schiller. — Pamiętacie, że tu jest nie wojna, ale teatr!

Znany muzyk włoski Rossini był nie tylko wielkim kompozytorem, ale także nie mniejszym smakoszem. Swego czasu spotkał się z przyjacielem, który widząc niezwykle uradowaną minę muzyka, zagadnął go:

— Skąd pan wraca taki uradowany, mistrzu?

— Prosto od stołu.
— A co świetnego podano.
— Indyka!
— Wiele osób z panem ucztowało?
— Było nas tylko dwóch: ja i indyk!

Jean Gabin, popularny aktor francuski, wypowiedział się pewnego razu na temat

Wysperal:
Ryszard Dunia